Polska historia w Ameryce

Z pisarką dr Aleksandrą Ziółkowską-Boehm

rozmawia Joanna Sokołowska-Gwizdka



Aleksandra Ziółkowska-Boehm, fot. Andrzej Bernat

Od lat mieszka Pani w Stanach Zjednoczonych, ale… jak sama Pani mówi, nie czuje się Pani emigrantką. Ma Pani wciąż związek z Polską, utrzymuje Pani mieszkanie, samochód. A przede wszystkim pisze Pani po polsku o polskiej historii. Pani książki są wnikliwe, dopracowane i utrwalają od zapomnienia niezwykłych Polaków, z których wielu już nie ma, jak chociażby Wanda i Henryk Ossowscy czy Roman Rodziewicz. Bardzo cennym obszarem Pani działalności, jest wydawanie tych książek po angielsku w

Ameryce.

Nie czuję się emigrantką, bo nie wyemigrowałam (wcześniej, będąc na stypendium w Kanadzie, gdzie dostałam tzw. kartę stałego pobytu, wróciłam do Polski). W 1990 r. wyszłam za mąż i zamieszkałam z mężem w jego kraju, czyli w Stanach Zjednoczonych. Do Polski przylatuję regularnie, mam spotkania autorskie, ukazują się moje książki. Zachowałam nieduże warszawskie mieszkanie, które na mnie czeka (jest w nim archiwum Melchiora Wańkowicza) i gdy przylatuję – wiem, że jestem „u siebie".

Jako była sekretarka Melchiora Wańkowicza jest Pani cały czas jego orędowniczką. W 2013 r. po angielsku w wydawnictwie Lexington Books ukazała się Pani książka – *Melchior Wańkowicz. A Poland's Master of the Written Word*. Jak Pani przekonała wydawcę, aby książka o Melchiorze Wańkowiczu ukazała się na rynku amerykańskim?

Ogromnie cenię książki Melchiora Wańkowicza, znam jego twórczość, obroniłam doktorat dotyczący tej twórczości na Uniwersytecie Warszawskim. Napisałam kilka książek na jego temat (w 2019 r. PIW wydał blisko 700-stronicową pozycję *Wokół Wańkowicza*). Bardzo chciałam, by ukazała się o nim książka w języku angielskim. Wydawca długo się zastanawiał, czy ją wydać,

uzasadniając, że pisarz nie jest wystarczająco znany w Stanach Zjednoczonych. Odpowiedziałam, że jest taką postacią w literaturze polskiej, jaką był Hemingway w Stanach – ze względu na osobowość, tematykę swoich książek, popularność czytelników. Zgodził się. Książka miała dwa wydania, 840 bibliotek naukowych świata ma ją w swoich zbiorach – nie tylko Europy, Kanady i USA, jest także w miejscach tak odległych, jak Australia, Republika Południowej Afryki, Nowa Zelandia, Chiny, Armenia, Grecja czy Turcja.

Czym było dla Pani wydanie książki o Pani mentorze w Ameryce?

W książce jako przykład stylu pisarza przytoczyłam pierwsze 20 stron jego *Bitwy o Monte Cassino*. Napisałam o polskim reportażu, o procesie 1964 r. – pierwszym procesie intelektualisty w Europie Wschodniej. W czasie procesu protesty składał amerykański PEN Club, zabierał głos senator Robert Kennedy. O tym procesie na bieżąco pisała zarówno prasa amerykańska, jak i prasa całego świata. Na końcu książki napisałam kilka osobistych wspomnień, anegdoty. Wydaje mi się, że spłaciłam tą książką szczególny dług, zaciągnięty, kiedy pisarz zawierzył młodziutkiej osobie, zapisując jej swoje archiwa (zadedykował mi także ostatnią swoją książkę *Karafka La Fontaine'a*). Kiedy w 1958 r. Wańkowicz wyjeżdżał ze Stanów, wracając do Polski, krytykowany był przez Polonię, że „jedzie do

komunistów”. Ucieszyłam się że po latach – pisarz niejako wrócił – do amerykańskich (i nie tylko) bibliotek.

Bardzo ważną dla nas Polaków sprawą jest przedstawienie polskiej historii amerykańskiemu odbiorcy,, szczególnie tej z okresu II wojny światowej. Do tej pory ukazały się cztery Pani książki dotyczące polskiej historii w tłumaczeniu angielskim: oprócz wspomnianej już *Wańkowicz. A Poland's Master of the Written Word* ukazała się *Kaja, Heroine of the 1944 Warsaw Rising* (Kaja od Radosława czyli historia Hubalowego krzyża, Muza 2006, 2014), *The Polish Experience trough World War II: better day has not come* (Lepszy dzień nie przyszedł już, Iskry 2012) oraz historia jednego z Hubalczyków: *Polish Hero Roman Rodziewicz. Fate of a Hubal Soldier in Auschwitz, Buchenwald, and Postwar England*. W 2018 roku ukazała się również Pani książka, pięknie reklamowana przez wydawcę pt. *Untold Stories of Polish Heroes from World War II*, do której wstęp napisał prof. James S. Pula. W Kanadzie wyszły Pani książki związane z historią Polski *Dreams and Reality Polish Canadian Identities, The Roots Are Polish* oraz *Senator Stanley Haidasz: A Statesman for All Canadians*. Czym się Pani kierowała, wybierając polskich bohaterów dla anglojęzycznego odbiorcy?

Bardzo chciałam, by w Ameryce ukazały się moje reportaże

historyczne pokazujące losy Polaków, i nie tylko. W sumie 12 moich książek ukazało się w języku angielskim, w tym 3 w Kanadzie i 9 w Stanach. Pokazuję ludzi, których wojna wyrzuciła z domów, z ziem ojczystych, zabrała ich bliskich, złamała życie. Piszę także o pokoleniu, które po wojnie zostało na Zachodzie, nie chcąc wracać do komunistycznej Polski, czy nie mając gdzie wracać, bo Kresy były pod panowaniem sowieckim. Pisałam, co się działo z byłymi żołnierzami spod Monte Cassino, z bohaterami od Hubala (tak powstała książka: *Polish Hero Roman Rodziewicz Fate of a Hubal Soldier in Auschwitz, Buchenwald and Postwar England*, 2013). Smutne, piękne, dramatyczne, bolesne – nasze polskie losy. Pokazuję zsyłki na Syberię, pobyty w obozach koncentracyjnych, przesłuchaniach na Pawiaku. Piszę o dzieciach, które straciły ojców w Katyniu. Pokazuję losy polskich Ormian, rzeź wołyńską. Wśród wielu sylwetek jest piękna postać Wandy Ossowskiej, piszę też o Żydówce Idzie Grinspan, która przez 50 lat szukała Wandy – polskiej pielęgniarki z Neustadt-Glewe, która uratowała jej życie. Ida dotarła wreszcie do szpitala, kiedy Wanda Ossowska straciła już przytomność i niebawem zmarła. Ida Grinspan w 2002 r. napisała z dziennikarzem francuskim Bertrandem Poirot-Delpechem książkę o swoich staraniach, by Wandę odnaleźć: *Je n'as pas pleure* (I didn't Cry). Moja książka ukazała się pt. *The Polish Experience Through World War II: A Better Day Has Not Come* (dwa wydania: 2013, 2015).

Ale o zainteresowanie wydawcy polską historią było zapewne trudno. Dla amerykańskiego czytelnika jest zbyt odległa i zbyt traumatyczna, Amerykanie mają własne, lokalne problemy. Jak zatem znalazła Pani wydawcę?

Ponad dwa lata szukałam wydawcy na tłumaczenie książki *Kaja od Radosława czyli historia Hubalowego Krzyża*. Po roku jeden z nowojorskich wydawców przeczytał kawałek, poprosił o drugi – odpisał, że mu się sposób pokazania podoba i chce podpisać umowę, ale jeszcze chciałby mnie spytać – czy na pewno jest to książka o Powstaniu w Getcie?… Nie, to jest o Powstaniu Warszawskim w 1944 roku… napisałam. – To nie będziemy mieli czytelnika, odpisał i wycofał się. Nie rezygnowałam, bardzo chciałam, żeby książka wyszła w amerykańskim wydawnictwie, by dotarła do bibliotek i innych instytucji, co amerykański wydawca zapewnia. Chodziłam do księgarń Barnes and Noble, oglądałam dział książek historycznych, patrzyłam, kto wydaje książki o drugiej wojnie światowej, spisywałam wydawców i w Internecie wyszukiwałam kontakt. Wysyłałam kolejne listy, na które dostawałam odpowiedzi, że ich temat nie interesuje. I tak – po ponad dwóch latach – pozytywnie odpowiedziało wydawnictwo Lexington Books, które wydaje książki popularnonaukowe. Książka ukazała się pod tytułem: *Kaia Heroine of the 1944 Warsaw Rising* (dwa wydania: 2012, 2014). Wydano w sumie pięć moich książek poświęconych tematyce historycznej. Ukazały się bez sponsora, w sztywnej okładce, z

fotografiami. Trzy mają drugie wydania (w miękkiej okładce).



Aleksandra Ziółkowska-Boehm, Londyn 2007 r., fot. Juliusz Englert

Czego ważnego o Polsce i jej historii dowiadują się Amerykanie z tych książek?

Wydawca napisał mi, że bardzo ceni, że piszę w powściągliwy, serdeczny sposób o dramatycznych losach ludzi, bez komentarzy, bez pouczania. Że każdy może się utożsamić z cierpieniami, które pokazuję, przedstawiając losy swoich wybranych bohaterów, że czytelnik wychwytuje najpiękniej i otwartym sercem całą tragedię i reaguje emocjonalnie. Pokazuję, że

Polacy-chrześcijanie byli w Auschwitz, pokazuję piękne przypadki ratowania Żydów (jak Wanda Ossowska), losy syberyjskich sierot… chciałam, by angielskojęzyczny czytelnik przyswoił sobie te tematy bez sięgania po historyczne rozprawy.

Czy komentowano Pani książki historyczne?

Pisał o nich przytaczany na tylnych okładkach, znany na obu półkulach, Zbigniew Brzeziński, a także historycy i autorzy amerykańscy: Neal Pease, Stanley Cloud i Lynne Olson (autorzy tłumaczonej w Polsce książki *Sprawa honoru. Dywizjon 303 Kościuszkowski*), Stanley Weintraub, Bruce E. Johansen, John R. Alley, Matt DeLaMater (autor książek o Napoleonie), Terrence O'Keeffe, Karl Maramorosch, Brytyjczyk Christoph Mick; polskiego pochodzenia historycy, jak Piotr S. Wandycz i Anna M. Cienciała, autorzy: Ewa Thompson, Jerzy R. Krzyżanowski, Charles S. Kraszewski (także tłumacz i poeta), Irene Tomaszewski, Leszek Adamczyk, Florence W. Clowes, John Radzilowski, Radoslaw Palonka, Angela Baldwin, Audrey Ronning Topping, Wash Gjebre, Homer Flute, Robert Ackerman, Larry Cunningham, Michal Sikorski, Jesse Flis, Irene Tomaszewski, John Mensch, James S. Pula, Mary Lanham.

Propaguje Pani także polską historię współczesną. W 2004 r. ukazał się wydany przez Kanadyjsko-Polski Instytut Badawczy w Toronto (Canadian Polish Research Institute)

zbiór wywiadów z Kanadyjczykami i Amerykanami polskiego pochodzenia zatytułowany *The Roots Are Polish*. Wśród rozmówców byli m.in. generał Donald Kutyna, profesor Andrew Schally, Zbigniew Brzeziński, Jan Nowak Jeziorański, Marek Jaroszewicz, Zdzisław Przygoda, Charles S. Kraszewski, Czesław Miłosz, Isaak B. Singer… Wstęp do książki napisał generał kanadyjski Bruce J. Legge. Napisał m.in., że *Ziolkowska'Boehm's remarkable book sparkles with being Polish*. Czy myśli Pani, że taka praca, która pokazuje Polskę, nie tylko z jej ranami, ale też i z jej sukcesami, ma wpływ na kształtowanie opinii o Polakach w Ameryce?

Bardzo bym chciała. I to jest naszym – Polaków – niejako obowiązkiem. Jak mówię – niech każdy robi „co może". Np. niech kupuje książki o tematyce polskiej i daje jako prezent znajomym, niech pyta o nie w bibliotekach. Komputer takie zainteresowanie wyłapie i książki będą zamawiane.

Pani wiedza i miłość do Polski spowodowała, że i Pani mąż, Norman Boehm, stał się polskim patriotą.

Norman poznał najnowszą historię Polski. Kilka razy wysyłał listy prostujące różne sprawy, jego listy były drukowane. Włączył się w akcję mobilizacji senatorów amerykańskich, kiedy ważyła się sprawa przyjęcia Polski do NATO. Jest cytowany (został tam

także podany jego biogram) w książce
Jana Nowaka Jeziorańskiego *Polska droga do NATO* (Wrocław 2006).

Ukazała się także w języku angielskim Pani autobiografia *Ulica Żółwiego Strumienia*, zatytułowana *Love for Family, Friends, and Books* (2015), którą pisała Pani, mieszkając z mężem w Dallas w Teksasie. Ludzka pamięć zmienia się w zależności od tego, ile razy przypominamy sobie wydarzenia i z którego punktu na nie patrzymy. Czy ukazanie się tej książki po wielu latach, jakie minęły od polskiego wydania, spowodowało powrót do osób i historii z Pani życia? Czy gdyby Pani teraz pisała autobiografię, widziałaby Pani pewne wydarzenia inaczej?

Dobrze, że tę książkę napisałam mając 40 lat, nie czekałam, nie odkładałam na później. Książka jest z założenia serdeczna, o czym we wstępie piszę. Pamięć jest ulotna, różne sprawy inaczej pamiętamy po czasie. Może po latach pamięć jest bardziej „ranliwa…"? W tłumaczeniu dodałam fragmenty, np. o roli papieża Jana Pawła II w Polsce, o zmianach, które następowały. Amerykańskie wydanie na tylnej okładce jest zarekomendowane przez autorkę wielu książek Audrey Ronning Topping, profesora Bruce Johansena. Jesse Flis napisał, że moje pisanie motywuje wielu Kanadyjczyków, by na nowo odkryć swoje polskie korzenie (*The autor's writings have motivated many Canadian citizens to*

rediscover their Polish roots). Ładnie, prawda?

Wywiad ukazał się w roczniku ,,Polonia Inter Gentes" wydawanym przez Instytut im. Generała Władysława Andersa w Lublinie, w lutym 2021 r.

Zobacz też:

> Zbiory polskie w Instytucie Hoovera

> Każdy człowiek ma swoją górę do przekucia. Niezwykły rzeźbiarz Korczak Ziółkowski.

Pisarskie delicje i remanenty

Adam Wierciński



„Pisarskie delicje” Aleksandry Ziółkowskiej-Boehm (Bellona

2019) to *silva rerum*. Prawdziwy las rzeczy. Tyle tam spraw, tematów, postaci znanych i mniej znanych, tyle dopowiedzeń do książek wcześniejszych i dodatkowych opowieści. I tyle przytoczeń. Listy, rozmowy, wywiady, fragmenty książek własnego i cudzego autorstwa. A wszystko udokumentowane, sprawdzone i autoryzowane, kiedy trzeba. Polot, szczęśliwe przypadki, szczęście do spotkań z pięknymi ludźmi, ponadto – dyscyplina pisarska. I jeszcze sztuka uważnego słuchania.

W pierwszym rozdziale zajmuje się Autorka reportażem literackim, rozprawia ze znawstwem, którego mógłby jej pozazdrościć wykładowca na wydziale dziennikarstwa, o literaturze faktu, tłumaczy, skąd się wzięła popularność tego rodzaju pisarstwa.

> Czytelnik współczesny oczekuje dokumentacji, jest głodny faktów, przekazów z pierwszej ręki. Staramy się śledzic, co się dzieje w różnych miejscach świata, który dzięki telewizji i głównie internetowi wszedł w nasze życie ze swoimi dylematami, problemami, katastrofami i biedą (s. 11-12).

To pisarstwo wywodzi się z literackiego dziennikarstwa, przypomina, że w latach 70. XX w. popularnością cieszył się tzw. *literary journalism,* kiedy autorzy starali się przedstawić punkt widzenia przeciętnego człowieka. A kiedy i to określenie

stało się nazbyt rozmyte, wprowadzono inne:

> Termin *„creative non-fiction”* (używany zamiennie jako *„literary non fiction”)* brzmi być może zagadkowo. Wyraz *„creative”* wskazuje, że autor używa metod i sposobów wypróbowanych w fikcji, czyli uprawia sztukę przenoszenia do narracji rozmaitych strategii i form opowiadania (s. 12).

Teoretyczne rozważania ilustruje Autorka przykładami, przypomina, jak się przygotowywała do pierwszego spotkania z Melchiorem Wańkowiczem, jak doszło do spotkania z Januszem Brochwiczem-Lewińskim („Gryf” w czasie powstania warszawskiego był świadkiem śmierci córki Wańkowicza). Wspomina o lojalności wobec rozmówcy:

> Pojawiają się momenty, kiedy rozmówca nie ukrywa, nie cenzuruje swoich słów, odczuć, wspomnień – mówi o nich swobodnie. Nie znaczy to, że piszący ma o tym napisać, aby „świat się dowiedział”. Ustalamy z moimi bohaterami, że swoją opowieść snują bez oporów, ale przed publikacją każdą wypowiedź z nimi autoryzuję. Mają do tego święte prawo. Zawsze usuwałam fragmenty wspomnień, którymi dzielili się ze mną, ale nie chcieli obwieszczać ich innym.

> Rozmówcy zasługują na szacunek, poszanowanie ich życia i prywatność. Zaufali mi, ja mam obowiązek postępowania etycznego (s. 41-42).

A po teoretycznym wstępie ciagną się opowieści o ludziach z różnych czasów i z tylu przestrzeni. O ich wędrówkach z wyboru i tych odbywanych kiedyś mimo woli. O rodzinie Rodziewiczów (z opowiadania Romana Rodziewicza powstała książka Wańkowicza „Hubalczycy"); o Aleksandrze Jordanie Lutosławskim, synu sławnego filozofa, Wincentego Lutosławskiego; o ks. Prof Januszu Ihnatowiczu, teologu i poecie; o sławnym pilocie Januszu Żurakowskim. O skomplikowanych losach niektórych ludzi. Janusz Dukszta, lekarz psychiatra i polityk kanadyjski, rodem ze Szczuczyna (między Grodnem a Nowogródkiem), mówił Ziółkowskiej-Boehm o swojej złożonej tożsamości:

> Uważam się za Polaka litewskiego pochodzenia, od lat mówię, że jestem polskim Litwinem, ale to jest trochę skomplikowane. Odwiedziłem kilka lat temu Wilno, i stwierdziłem, że na pewno nie jestem Litwinem, pojechałem do Krakowa, stwierdziłem, że nie jestem Polakiem. Odwiedzam Anglię, gdzie ukończyłem uczelnię, i gdzie mieszka moja przyrodnia siostra Izabella, ale nie czuję się Anglikiem. Jestem Kanadyjczykiem – bo Kanada pozwala mi być… cudzoziemcem. To jest moje „identity" (s. 64).

Ciekawe, ile papieru zużyliby współcześni socjolodzy na opisanie tej wielostopniowej tożsamości, ile teorii stworzyliby dzisiejsi kosmopolici i narodowcy. A pisarka zostawia wyznanie potomka szlacheckiego rodu z Wielkiego Księstwa Litewskiego bez komentarza. Zostaje cenne świadectwo. Gdzie indziej opowie Autorka o Tomaszu Łychowskim, poecie i malarzu Brazylii (przyznaje się, że to, co pisze, jest polskie, a to co maluje – brazylijskie). Jego ojciec pochodził z Kijowa, ożenił się z Gertrudą, Niemką spod Berlina. A stało się to w portugalskiej wtedy Angolii w latach 30. XX w. W roku 1938 Łychowscy z kilkuletnim Tomaszem przyjechali do Polski. A potem wojna, konspiracja, matka Niemka okazała się polską patriotką związaną z AK. Osadzono ją z siedmioletnim synkiem na Pawiaku.

> Obecnie Tomasz Łychowski ma ponad 80 lat i jest prawdopodobnie najmłodszym żyjącym więźniem Pawiaka.
>
> Pamięta, że codziennie o szóstej rano był apel. Ustawione w dwurzędzie więźniarki składały po niemiecku meldunek. Tomasz zapamiętał, że po pewnym czasie jemu przypadła ta funkcja i meldował: *„Fünfundzwanzig Frauen und ein Kind”* (25 kobiet i dziecko). Na to Komendant: *„Fünfundzwanzig Frauen und ein Man”* (25 kobiet i jeden mężczyzna) i bardzo zadowolony ze swojego

> dowcipu wybuchnął śmiechem (s. 240).

Poeta pisze w trzech językach: po polsku, po angielsku i po portugalsku, maluje i pisze wiersze (coraz częściej po portugalsku), w jednym z wierszy wspomina o swojej multiosobowości:

> *Jaka moja w tym wina*
>
> *– urodzony w Angoli –*
>
> *że nie jestem czarny?*
>
> *Zaadoptowany przez Brazylię*
>
> *że jestem gringo?*
>
> *Jaka wina?*
>
> *Że jestem synem Niemki w Polsce*
>
> *Polaka w Niemczech?*
>
> *Dość nierzeczywistych win!*

> *Czy nie wystarczą te prawdziwe?*
>
> (s. 252)

Jak to dobrze, że bohaterowie o takich skomplikowanych losach znaleźli rozumiejącą słuchaczkę, która z taktem i empatią potrafiła ich wysłuchać, a potem zapisać niezwykłe koleje losu (powieściopisarz pomieściłby te opowieści w kilku zapewne tomach). A tu skrót, dane do opowieści i ewentualne rozwinięcie. Jak z Kają od Radosława:

> Najkrócej: Cezaria Iljin-Szymańska – pseudonim „Kaja” – działaczka podziemia, uczestniczka powstania warszawskiego, członek zgrupowania „Radosław”. Po powstaniu aresztowana w Białymstoku i osadzona w obozie NKWD nr 41 w Ostaszkowie. Do Polski wróciła w 1946 roku z malarią i tyfusem. Skończyła studia i została cenionym architektem, włączyła się w odbudowę Warszawy (s. 89).

Jeszcze o jednym szkicu należałoby wspomnieć. Zaczyna się tak:

> Jeżeli Wańkowicz jest mi wdzięczny, to zapewne za wymianę przedmowy… Że przekonałam wielkiego redaktora

> Giedroycia, który do swojej korespondencji z pisarzem napisał nową. Pierwsza jej wersja zawierała określenia niesprawiedliwe, niepoparte żadnym dokumentem (s. 257).

A jak to się stało, że propozycję Ziółkowskiej-Boehm, żeby dodał Giedroyć kilka zdań…

> – właśnie, że uważa go Pan za „czołową postać polskiej literatury” (…). Obok krytyki i ostrych rzeczy, czy nie może Pan dodać, że – jak Pan do mnie pisze – jednak „wysoko go Pan ceni”?

zostały uwzględnione, wnikliwy czytelnik, przeczyta sam. A uparta i wdzięczna Autorka, dbająca o dobre imię swojego mistrza, napisze o Giedroyciu z uznaniem:

> Jego wielkość z pewnością zawiera się także w fakcie, że dał sie przekonać. Bardzo go za to podziwiam i doceniam (s.293).

Tekst ukazał się [w:] PAMIĘTNIK LITERACKI, Londyn, grudzień 2020, s. 243-246

Zobacz też:

> „King i Królik”- powrót Melchiora Wańkowicza

> Kaja od Radosława, czyli historia Hubalowego krzyża

Złączył nas czas. Część 2.

Rozmowa z Jarosławem Abramowem-Newerlym, kompozytorem, satyrykiem, dramatopisarzem, pisarzem – o ludziach, wydarzeniach i sytuacjach, które pozostały w pamięci.

*

Joanna Sokołowska-Gwizdka:

Znakomita Pana sztuka „Maestro” w reż. Kazimierza Dejmka (1983), odbiła się szerokim echem. Jest to opowieść o skrzypku, który po wielu latach pobytu za granicą, chce zorganizować swój jubileusz w Polsce. Podobno inspirował się Pan historią Artura Rubinsteina, który zresztą przy innej okazji pojawił się na jednym z Pana spektakli.

Jarosław Abramow-Newerly:



Fot. Wiktor Zajkowski-Gad

Do Artura Rubinsteina żywiłem starą wdzięczność. Otóż w 1966 roku, akurat w czasie obchodzonego w Polsce Millenium dyrektor Jerzy Jasieński, ojciec Ireny Żurowskiej mieszkającej dziś w Toronto, postanowił wystawić w kierowanym przez siebie Teatrze Polskim w Warszawie moją nową sztukę „Derby w Pałacu". Rzecz rozgrywała się w pałacu w Dembowcu, w państwowej stadninie koni, którą kierował dyrektor Roman Karbot. Karbot rozmiłowany w przeszłości przekształcił pałac w Dębowcu w swego rodzaju muzeum konia rasowego w Polsce. W głównej sali stała makieta naturalnej wielkości ogiera, czołowego reproduktora dębowieckiej hodowli. Tej polityce Karbota sprzeciwia się sekretarz Byrczak, który pragnie zmienić Dębowiec w ośrodek rekreacyjny, a część koni sprzedać wysoko za dewizy. Wprowadza do pałacu swoich robotników, których wyrzuca Karbot. Nabywcą koni jest hrabia Zygmunt Dembopolski, przedwojenny właściciel Dębowca, który w tym celu po raz pierwszy po wojnie przyjeżdża do Polski z Toronto. Pisząc w 1965 roku tę sztukę szukałem na mapie dźwięcznej nazwy miasta i do głowy mi nie przyszło, że za dwadzieścia lat sam wyląduję w Toronto, tak jak mój bohater. Hrabia Dembopolski, którego znakomicie zagrał Władysław Hańcza, widząc po środku kukłę konia naturalnej wielkości nie omieszkał powiedzieć:

– To pięknie. Mnie wyrzuciliście z pałacu w 1945 roku po to, by moje miejsce zajął wypchany ogier. Zaiste koński żart historii. –

„Domator" to czołowy reproduktor naszej dembowieckiej hodowli. Znają go hodowcy w każdej księdze stadnej! – mówi Karbot – *A mnie w każdym herbarzu polskim* – odpowiada Hrabia – *Ale nikt mnie z tego powodu nie wypchał i nie ustawił po środku pałacu. –Zabawne* – kpi dalej hrabia – *Koń powinien być rasowy, a człowiek nie powinien być rasistą. Geny i genealogia furda! Na śmietnik! A w życiu liczy się rasa! Krew! Kto cię począł, człowieku? ! Oto fundamentalne pytanie naszych czasów!*

Następnie hrabia Zygmunt wspomina wraz ze swoim kamerdynerem Józefem, który dalej pracuje w Dębowcu, dzień, kiedy w 1945 roku opuszczał pałac – *Obeszliśmy dookoła pałac* – mówi Józef – *a następnie pan hrabia spytał: – Czy ja tu jeszcze wrócę, Józefie? – Wróci pan hrabia! Przecież Bóg jest w niebie!* – odparłem. – *Pan hrabia wyciągnął rękę na Wschód skąd grzmiało i rzekł: – Nie, Józefie. Nie wrócę. Azja nadchodzi. – I rzeczywiście. Nie wrócił. A mnie upaństwowiono wraz z pałacem.*

Kamerdynera Józefa grał wyśmienicie Bronisław Pawlik. Po kwestii „Azja nadchodzi!" otrzymywał gromkie brawa, które spokojnie przeczekiwał i dodawał. „I rzeczywiście". Tu znów dostawał brawa. Po dużej pauzie mówił dalszy tekst. Po pierwszym akcie sztuki, wpadł do mojej loży zdenerwowany dyrektor Jasieński i powiedział: – *Niedobrze, panie Jarku. Zenon Kliszko ani razu się nie uśmiechnął i bardzo mu się te oklaski na sali nie podobają.* Kliszko był drugą osobą w państwie po

Władysławie Gomułce i kierował całą polityką kulturalną w partii – *To rzeczywiście niedobrze, panie dyrektorze* – przyznałem – *No, tak* – rzekł Jasieński. – *Ale jest nadzieja. Córce Kliszki sztuka się bardzo podoba, śmieje się i klaszcze, to może ona go przekona.* Bardzo mnie to zaniepokoiło. Dalej aktorzy grali jak na skrzydłach i odnieśli wielki sukces. Publiczność wstała i zgotowała im brawa na stojąco. Ja byłem wywoływany na scenę. Ale los sztuki i dyrektora Jasieńskiego wisiał na włosku.

W niedługim czasie po premierze władze partyjne zdjęły go z tej dyrekcji, dostał tak zwanego kopa w górę i mianowano go dyrektorem Teatru Wielkiego w budowie. I w tej niepewnej sytuacji mojej sztuki, we wrześniu 1966 roku przyjechał z wizytą Artur Rubinstein i mój starszy kolega z radia, kierownik działu muzyki poważnej Roman Jasiński, stary przyjaciel Rubinsteina, zaprowadzi go na moje „Derby w pałacu". I w wywiadzie udzielonym reporterce „Expresu Wieczornego" na pytanie co widział w Warszawie mistrz odpowiedział: – *Widziałem w Teatrze Polskim sztukę Abramowa „Derby w pałacu" i bardzo mi się podobała.* To zdanie wielkiego pianisty bardzo wzmocniło niepewną sytuację sztuki. Dopiero w grudniu tego roku, po sześćdziesięciu sześciu przedstawieniach przy bitych kompletach na sali sztukę kazano wyciszyć. Tak to się wtedy nazywało. Bezpośrednią przyczyną zdjęcia „Derbów" z afisza było oddanie legitymacji partyjnej przez mojego Ojca po tak zwanej sprawie Leszka Kołakowskiego.



Karykatura Jarosława Abramowa-Newerlego narysowana przez Zofię Góralczyk z STS-u (żonę reżysera Jerzego Markuszewskiego), fot. arch. J. Abramowa-Newerlego

W dziesięciolecie polskiego Października 1956 Leszek Kołakowski wygłosił odczyt na Uniwersytecie Warszawskim, w którym w ostrych słowach potępił odejście ekipy Gomułki od ideałów socjalizmu z ludzką twarzą, za co został usunięty z partii. Władze powołały specjalną Komisję Partyjną na czele z Zenonem Kliszko, która puszczała taśmę z nagraniem tego przemówienia i kazała się pisarzom partyjnym do niego ustosunkować, oczekując

oczywiście potępienia Kołakowskiego. Po przesłuchaniu taśmy Ojciec odparł, że w zasadzie zgadza się z Kołakowskim. Kołakowski nie powiedział nic nowego. – *Jak to!?* – obruszył się Kliszko i zaczął bronić polityki kulturalnej partii i systemu sprawiedliwości społecznej. – *A wie, towarzysz, ile kosztuje sprawiedliwość społeczna na Mazurach w powiecie mrągowskim, gdzie mam dom!? – Nie* – rzekł Kliszo. – *Pięćset złotych. Bo tyle wynosi łapówka, którą się daje sędziemu. I to wie każdy mieszkaniec we wsi.*

Tego było za wiele. Kliszko już tego nie wytrzymał: – *Niedaleko spada jabłko od jabłoni* – warknął zły przypominając sobie o moich „Derbach". Ojciec zaś żeby uprzedzić decyzję partii sam złożył legitymację partyjną w Związku Literatów Polskich.

Opowiedziałem historię „Derbów w pałacu", a Pani pytała mnie o sztukę „Maestro".

Historia tej sztuki jest niezwykle interesująca. Rzeczy, które się działy wokół niej, wiele mówią o tamtych czasach. A powracając do późniejszej sztuki „Maestro", Artur Rubinstein już nie zdążył jej obejrzeć.

Ale żył jeszcze w czasie gdy pisałem „Maestro" i czytałem jego pamiętniki. Jemu zresztą dedykowałem tę sztukę. Bohaterem jej był światowej sławy skrzypek Orland Steinberg, który w stanie

wojennym postanowił obchodzić swoje stulecie w Polsce, w której się urodził. Władze PRL pragną wykorzystać ten fakt propagandowo w celu zniesienia zachodnich sankcji dla Polski. Chcą jednak wizytę tę w pełni kontrolować. Mistrza zamierzają ugościć w pałacu w Wilanowie.

Czyli jest to już druga sztuka Pana, która rozgrywała się w pałacu.

No, właśnie. Był już taki precedens w rzeczywistości. Otóż gdy przyjechał z wizytą do Polski prezydent Francji generał Charles de Gaulle, I Sekretarz PZPR Edward Gierek kazał go umieścić w pałacu w Wilanowie. Edward Gierek w młodości był górnikiem w Belgii i jako jedyny przywódca w socjalistycznym obozie mówił po francusku. Jako ciekawostkę dodam, że słynna firma cukiernicza „Bliklego" wysłała generałowi do Wilanowa paczkę pączków. W czasie wojny bolszewickiej w 1920 roku młody major Charles de Gaulle był we francuskiej misji wojskowej w Warszawie i bardzo lubił jeść pączki w kawiarni „Bliklego" na Nowym Świecie.

W moim „Maestro" władze PRL zmieniają, na czas wizyty mistrza, dyrektora muzeum w Wilanowie i dają swojego człowieka wiadomych służb. Orland Steinberg pragnie się zobaczyć z dawnymi przyjaciółmi, których nazywa Ostatnimi Mohikanami. Wśród tych Indian jest pierwsza żona Orlanda,

słynna diva operowa Ksawera zwana Kseną. Mistrz przyjeżdża ze swoją piątą żoną, Eleonorą, emigrantką marcową. Rolę Kseny Kazimierz Dejmek powierzył Ninie Andrycz. W żartach mi powtórzył, że jak na pierwszej próbie aktorzy przeczytali tekst, to Nina Andrycz powiedziała: – *Panie dyrektorze. Ja nigdy w życiu nie grałam w epizodach*. – *Ależ pani Nino, to nie jest epizod!* – odparłem. – *Tylko co? – Duża rola* – odparłem. – *Jak to duża!? Nie ma mnie zupełnie w trzecim akcie. Publiczność zdąży o mnie zapomnieć*. I tu bestia miała rację. Tak więc, drogi autorze, musi Pan dopisać jej parę zdań w trzecim akcie, żeby mogła wyjść śmiało do ukłonów. Oczywiście chętnie się zgodziłem. I Nina Andrycz w trzecim akcie wychodziła w pięknym futrze od Mao-tse-tunga, które dostała w Pekinie od przywódcy Chin, podczas bratniej wizyty przyjaźni, ze swym mężem premierem Józefem Cyrankiewiczem i z dumą mówiła: – *Stara Warszawa to ja!* – zbierając gęste brawa.

Przed rozpoczęciem prób zaprosiła mnie do siebie do mieszkania w Alei Róż w Warszawie, żeby poprawić tekst, aby „stał się bardziej mowny" – jak powiedziała. Mimo, że uważałem siebie za specjalistę od dialogu te wszystkie jej drobne poprawki uznałem za słuszne. Miała świetny teatralny słuch. Głównego bohatera Orlanda Steinberga zagrał Ignacy Machowski. Był to znakomity aktor, tyle tylko, że miał nieszczęście zagrać rolę Lenina, do którego był bardzo podobny. Dejmek jednak obiecał, że go się ucharakteryzuje i nie będzie znać tego podobieństwa. I

rzeczywiście. Z włosami i siwą, krótką brodą Ignacy Machowski wyglądał jak Hemingway.

Na koniec powiem Pani rzecz niezwykłą. Otóż w kilkanaście lat od premiery „Maestro" Alina Janowska zaprosiła mnie do Szkoły Muzycznej na Żoliborzu w Warszawie, którą jako radna się opiekowała. I tam podeszła do mnie pewna pani i powiedziała: – *Pan mnie sobie nie przypomina. Jestem żoną Igo Machowskiego. Maestro w Pana sztuce! – Ach, oczywiście* – potaknąłem przypominając sobie, że Machowski się w tym czasie ożenił. – *No, właśnie. A to jest jego córka. Bardzo utalentowana skrzypaczka, która wystąpi niedługo z koncertem w Filharmonii Narodowej* – przedstawiła mi młodą dziewczynę. I co Pani na to, pani Joanno!? Rola wielkiego skrzypka to sprawiła? Nie umiem sobie tego wytłumaczyć.

To rzeczywiście niezwykła opowieść.

Jarosław Abramow-Newerly, „Ja, ty, oni", 1975 r., słuchowisko radiowe

Aleksandra Ziółkowska-Boehm przypomniała, że w latach 70. otrzymał Pan nagrodę Teatru Telewizji, w którym pracowała w redakcji repertuaru, organizując konkursy, prowadząc biuletyn Teatru TV. Mówiła, że kiedy ogłaszany był konkurs na sztukę teatralną, Pana sztuki zawsze znacząco się wyróżniały na tle innych

przysyłanych tekstów, od razu się czuło, że są napisane i przemyślane przez znakomitego dramaturga. Jak przypomina Pan sobie ten czas?

Z panią Aleksandrą Ziółkowską-Boehm rzeczywiście poznałem się w Telewizji w Warszawie kilka miesięcy przed wprowadzeniem stanu wojennego. W 1967 roku napisałem dwie jednoaktówki „Zebek" i „Wrotek" według opowiadań Marka Nowakowskiego pod tym samym tytułem. Połączyłem je w całość pod wspólnym tytułem „Swojacy". Agnieszka Osiecka dopisała piosenkę. „Swojakami" zainteresował się Janusz Warmiński, dyrektor Teatru „Ateneum" i chciał wystawić ich na małej scenie swego teatru. Bardzo się z Markiem ucieszyliśmy. Po pewnym czasie zaprosił mnie do teatru i ze smutną miną oświadczył, że nie uzyskał zgody z Urzędu Miasta na wystawienie tej sztuki. Bardzo żałowałem, bo mogło to być dobre przedstawienie. W czasie pierwszej „Solidarności" Telewizja zainteresowała się „Zebkiem" i chciała go zagrać w swoim teatrze. Otrzymał chyba nawet jakąś nagrodę. Wszystko przekreśliło wprowadzenie stanu wojennego. A z panią Aleksandrą później spotkałem się w Toronto, gdzie przebywała na stypendium.

Aleksandra Ziółkowska-Boehm przypomniała też o procesie Melchiora Wańkowicza, w którym Pana ojciec występował jako świadek obrony. Proszę o tym opowiedzieć.

To jest właśnie jeden z pisarzy o lwim piórze w PRL. W 1964 roku opublikowany został krótki list trzydziestu czterech wybitnych pisarzy i intelektualistów, w tym Wańkowicza, do władz państwowych z apelem o zmianę polityki kulturalnej i złagodzenie działalności cenzury. List ten odczytany został w rozgłośni Radia Wolna Europa i stał się powszechnie znany. Wańkowicz oskarżony został o to, że przekazał ten list do RWE i pisał wrogie teksty szkodzące Polsce Ludowej. Wytyczono mu proces sądowy. Wańkowicz nie skorzystał z adwokata i sam się bronił. Poprosił też na świadka obrony mojego Ojca. Tata w swoim wystąpieniu jako jedyny na sali stanął po jego stronie. Powiedział, że posadzenie na ławie oskarżonych wybitnego pisarza w kajdankach między dwoma milicjantami nie jest dobrym pomysłem i nigdy jeszcze nie przyniosło pożądanych efektów. I im wcześniej Melchior Wańkowicz zostanie zwolniony tym lepiej. Bo nikt jeszcze nie wygrał z człowiekiem pióra. Obok Ojca wystąpili jeszcze pisarze Kazimierz Koźniewski i Bohdan Czeszko i potwierdzili zarzuty stawiane oskarżonemu. Wańkowicz zaprzeczał kontaktom z Wolną Europą i twierdził, że list 34 krążył po Warszawie i mógł być przekazany przez kogoś innego. Po swoim uwolnieniu (dostał wyrok w zawieszeniu) był niezwykle wdzięczny Ojcu za jego obronę na procesie i niemal do końca życia na swoje imieniny zapraszał Ojca na litewską nalewkę robioną przez siebie.

W 1985 roku wyjechał Pan wraz z żoną Wandą biologiem z

doktoratem z wirusologii do Kanady, gdyż żona dostała tam pracę. Zostawił Pan za sobą artystyczne środowisko, budowane przez wiele lat, kontakty, całe swoje zawodowe życie. Wydawałoby się, że trudno będzie Panu odnaleźć się na emigracji. Ale nie, do satyryka, dramaturga, kompozytora doszła jeszcze jedna profesja – pisarza. Zajął się pan tematem Polaków na emigracji, a umiejętności prozatorskie okazały się kolejnym Pana talentem. Powstały takie książki jak „Kładką przez Atlantyk", „Pan Zdzich w Kanadzie", czy historia rodziny Wawrów – polsko-ukraińskich emigrantów w Toronto w książce „Nawiało nam burzę". Powiedział Pan kiedyś, że dzięki emigracji, stał się Pan prozaikiem.

Rzeczywiście tak się stało. W kraju byłem przede wszystkim satyrykiem i dramatopisarzem. Do 1975 roku podpisywałem się tylko Jarosław Abramow, chcąc się odróżnić od mojego Ojca. Ale kiedy miałem już swoją własną ustaloną pozycję literacką spytałem Ojca, czy mogę użyć drugiego nazwiska Newerly. Ojciec bardzo się ucieszył i zażartował: – *A ja myślałem, synu, że ty się mnie po prostu wstydzisz?* W ten sposób podkreślona została tradycja rodzinna. Moja Żona Wanda, która po doktoracie z wirusologii pracowała w Państwowym Zakładzie Higieny w Warszawie otrzymała propozycję pracy w Kanadzie najpierw na Uniwersytecie w Kingston, a potem w Toronto. Byliśmy oboje bardzo zmęczeni stanem wojennym i postanowiliśmy trochę

odetchnąć świeżym powietrzem w Kanadzie pachnącej żywicą. Znałem ją tylko z książek podróżniczych Arkadego Fiedlera. W Kingston przebywała młodsza siostra Wandy, Danuta Kozbór – Fogelberg, która po doktoracie przeniosła się do Filadelfii i pracowała w słynnym Wistar Institute kierowanym przez naszego rodaka, wynalazcę doustnej szczepionki przeciw polio, chorobie Heine-Medina profesora Hilarego Koprowskiego.

Do Kanady wyjechaliśmy sami zostawiając u Babci Heleny Kozbórowej naszą małą córeczkę Marysię. Po roku Babcia Helena z Marysią do nas przyjechała. Nie zamierzaliśmy długo zostać w Kanadzie. Jak laboratorium Wandy prowadzone przez profesor Johna Rodera przeniosło się z Kingston do Toronto, pozostawała sprawa mieszkania. I w jego znalezieniu pomógł mi STS.

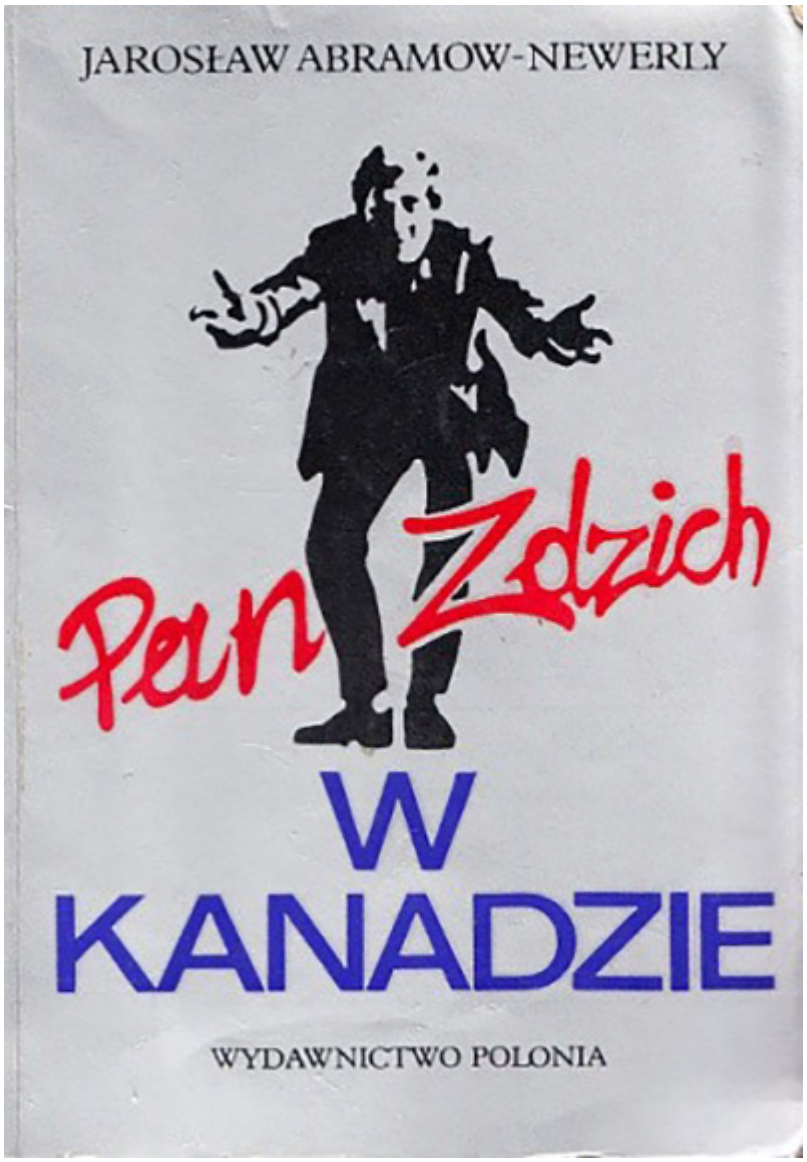
W jaki sposób?

Bardzo prosty. Znany reżyser Tadeusz Jaworski, którego mi polecił Janusz Warmiński, jak wyjeżdżałem do Kanady, powiedział mi, że Krzysztof Topolski bardzo chce mnie zobaczyć. – *Nie znam żadnego Krzysztofa Topolskiego* – odparłem – *Ale on mówi, że ciebie zna z STS-u*. Umówiłem się z Topolskim. Na spotkanie stawił się młody, przystojny człowiek i przedstawił się. – *Pan o mnie nie słyszał, ale ja jestem bratem Marysi Wichrzyckiej, żony Wojtka Wichrzyckiego. A ich pan z STS-u*

dobrze zna! – Oczywiście. A oni są tu? – Jak najbardziej. Zaraz Pana do nich zaprowadzę. Wojtek Wichrzycki pracował u nas w STS-e w brygadzie technicznej, z zawodu był inżynierem i powszechnie był lubiany. Spadli więc mi jak z nieba. Ucałowaliśmy się z Wojtkami serdecznie – *Ja zmieniłem tu swoje trudne do wymówienia przez Kanadyjczyków polskie nazwisko Wichrzycki na Topperman, rodowe nazwisko rodziców Marysi* – śmiał się Wojtek – *W Toronto jest wielki przedsiębiorca Tepperman i często mnie z nim mylą* – powiedział. Wojtek był jedynym chyba Polakiem, który ze względu na pochodzenie żony zdecydował się pozostać za granicą, a pracował wtedy jako inżynier drogowy w Iraku i chciał zaprotestować w ten sposób przeciw antysemickiej nagonce prowadzonej w Polsce przez generała Moczara.

Wracając do mojego mieszkania, to Krzysztof Topolski postanowił się tym zająć. Sam pracował jako sprzedawca używanych samochodów w *Automotiv Clearance Center* i miał wielką siłę przebicia. Dowiedział się, że pracownikom Uniwersytetu w Toronto przysługuje duży blok mieszkalny, gdzie mieszkania są ulgowe. Ponieważ laboratorium badawcze Johna Rodera w *Mount Sinai Hospital* należało do Uniwersytetu, Wandzie to mieszkanie w pełni przysługiwało. Udaliśmy się razem z Krzyśkiem do administracji tego domu i Krzysiek ze swadą przedstawił mnie jak przyszłego laureata Nagrody Nobla, a Wandę jako Marię Skłodowską-Curie. Oczarowana jego

elokwencją administratorka, pani Nicolson, bez trudu nam to ulgowe mieszkanie przyznała. W ten sposób zamieszkaliśmy w dużym wieżowcu przy 35 Charles Street. Zaraz po naszym wprowadzeniu zapukał do naszych drzwi młody człowiek, który przedstawił się: – *Nazywam się Jerzy Barankiewicz. Słyszałem, że do tego mieszkania sprowadzili się Polacy. Jeżeli mogę Państwu w czymś pomóc to służę swoją osobą. Proszę się nie krępować* – zaoferował się. Tak poznałem Jurka Barankiewicza, doktora biochemii, z którym do dziś jestem w wielkiej przyjaźni.



Zacząłem chodzić na lekcja angielskiego, które prowadzone były za darmo w domu parafialnym przy kościele na Charles Street. Tam poznałem przebojowego młodego Polaka, który bardzo narzekał na niską zabudowę domów w Toronto: – *To domki jak z westernu, proę pana* – mówił z wyższością. Współpracowałem już wtedy z polonijną gazetą „Związkowiec", gdzie pod pseudonimem pisałem felietony i przyniosłem artykuł o tym młodym człowieku, którego nazwałem Zdzichem. Tekst ten bardzo się w redakcji spodobał i Robert Długoborski, którego znałem jeszcze z radia w Warszawie, zaproponował, żebym pisał tak dalej. W ten sposób w tygodniowych odcinkach powstał „Pan Zdzich w Kanadzie", którego pisałem pod pseudonimem Marian Radomski. I na spotkaniu świątecznym w „Związkowcu" podszedł do mnie działacz Związku Polaków w Kanadzie i spytał: – *Pan Radomski? – Tak* – odparłem ze śmiechem. – *Ja jestem też Radomski* – oświadczył – *Panie! Co ja mam przez tego Pańskiego „Pana Zdzicha"! Wszyscy myślą, że ja go piszę.*

Muszę przyznać, że cała redakcja „Związkowca" zachowała się bardzo ładnie i nikomu nie zdradziła, że to ja go piszę. Konspiracja więc była pełna. Miałem polski paszport i nie chciałem zrywać więzi z Krajem. Przy pisaniu tej książki wykorzystałem wszystkie swoje satyryczne doświadczenia jako autor STS, dlatego jest pełen humoru. Ale do głowy mi nie przyszło, że dosłownie za parę lat, w 1989 roku, dojdą w Polsce i na świecie takie zmiany, że będę go mógł podpisywać swoim

nazwiskiem i będzie nadawany w Kraju w popularnej audycji radiowej „Cztery pory roku” w znakomitej interpretacji Mariana Kociniaka. To w 1986 roku było nie do pomyślenia.

Na emigracji powstała również doskonała trylogia biograficzna „Lwy mojego podwórka”, „Lwy wyzwolone” i „Lwy STS-u”. „Lwy mojego podwórka” to jedna z lepszych książek o powstaniu warszawskim, jakie czytałam w życiu. To historyczne wydarzenia pokazane z perspektywy dziecka. Pojawia się tam m.in. postać rotmistrza Witolda Pileckiego, który uratował życie Pana mamie i Panu. Proszę o tym opowiedzieć.

Początek „Lwów mojego podwórka” miał też w „Związkowcu”, gdzie napisałem duży tekst „Moja III Kolonia”. Potem podczas pisania mojej polsko-ukraińskiej sagi „Nawiało nam burzę” bohater książki Leszek Wawrów gorąco mnie namawiał, żebym napisał swoją autobiograficzną książkę. I tak prawie równolegle do powstania „Nawiało nam burzę” ukazały się w 2000 roku w Wydawnictwie „Twój styl” „Lwy mojego podwórka”.

Książka miała bardzo duży odzew czytelniczy. Zwłaszcza na Żoliborzu. Dyrektor Wydawnictwa Andrzej Rosner mówił mi, że z biblioteki na Żoliborzu zadzwoniono do niego z prośbą o drugą książkę „Lwów”, bo w bibliotece ustawiają się do niej kolejki. Żyło jeszcze wtedy dużo moich kolegów z podwórka. Dziś żyję już

tylko ja i Krystyna Brzezińska Lindenberg. Mało coś nas, kurka wodna. Powtarzam za Ryśkiem Praczem.

Wracając do Pani pytania to w 2000 roku jedynie nieliczni ludzie w Polsce wiedzieli kto to jest Witold Pilecki. Syn Witolda Pileckiego, mój kolega Andrzej Pilecki przyszedł do mnie do domu podziękować, że wspomniałem o jego ojcu, przyniósł też fotografię ojca, którą zamieściłem w drugim wydaniu książki. Z czasem o Pileckim stało się głośno, i brytyjski reporter Jack Fairweather wydał o nim książkę w 2019 roku pod tytułem „The Volonteer. W 2020 roku ukazało się polskie wydanie tej książki zatytułowane „Ochotnik" w wydawnictwie „Znak". Spotkałem się parokrotnie z Jackiem Fairweatherem, opowiedziałem mu w jakich okolicznościach poznałem Witolda Pileckiego.

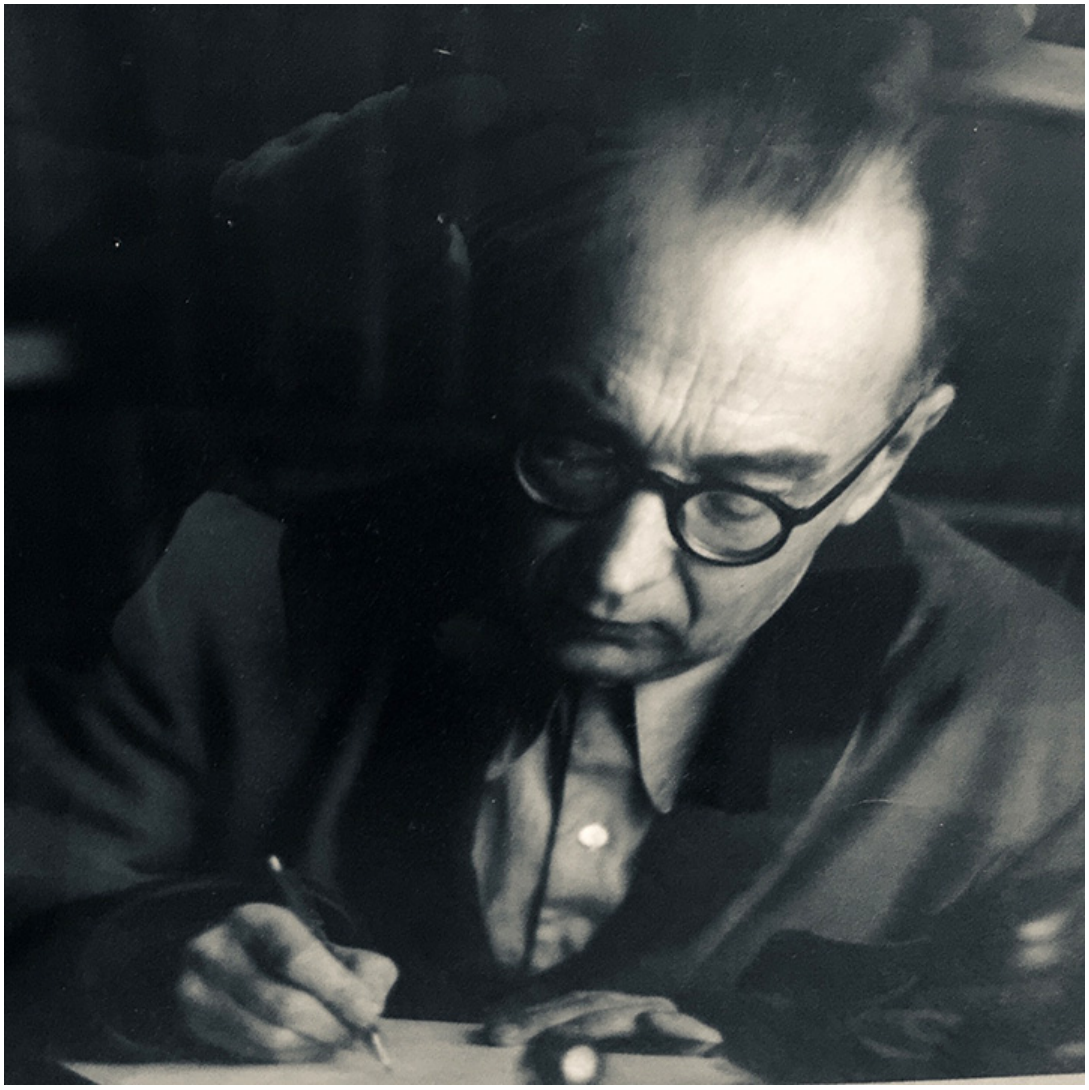
W 1943 roku, już po aresztowaniu mego Ojca i osadzeniu Go w obozie koncentracyjnym na Majdanku, zjawił się u nas żydowski szmalcownik, który przedstawił się jako przyjaciel Lejzora Czarnobrody, którego mój Ojciec pomógł ukryć na wsi, za co w 1983 roku przyznano mu Drzewko Sprawiedliwych wśród Narodów Świata w Jerozolimie. Otóż szmalcownik ten zaczął moją Mamę szantażować, że jeżeli nie otrzyma odpowiedniej sumy pieniężnej to nas wyda na Gestapo, bo jemu jest już wszystko jedno. Zdenerwowana Mama pobiegła do naszych przyjaciół na III Kolonii Aleksandry i Aleksandra Palińskich, gdzie przychodził na obiady Major, czyli Witold Pilecki i

opowiedziała mu o tym. Pilecki uspokoił ją i przyrzekł, że się tą sprawą zajmie. I rzeczywiście zajął się, bo od tej pory ten szmalcownik do nas przestał przychodzić. Najpewniej został zlikwidowany.

Po wojnie w 1948 roku zgłosiła się do mojej Mamy kobieta, która przedstawiła się jako przyjaciółka Witolda Pileckiego i błagała Mamę, żeby pomogła załatwić prawo łaski u Bolesława Bieruta tak, żeby Witold Pilecki uniknął kary śmierci. Mama nie znała Bieruta, ale przed wojną jako panna wynajmowała mieszkanie u Janiny Bierutowej, pierwszej żony Bolesława Bieruta. Jako nauczycielka śpiewu w szkole RTPD uczyła też dwoje dzieci Bolesława Bieruta Isię i Janka. Zabawne też było, że Bierutowa skarżyła się Mamie, że Bolek, który przebywał wtedy w Moskwie, zdradza ją z niejaką Małgorzatą Fornalską. W tym mieszkaniu u Bierutowej na II Kolonii WSM składał wizyty Mamie mój Ojciec.

Po Jego wyjściu Bierutowa powiedziała do Mamy: – *I na co pani Panno Basiu taki stary mąż? Młoda, ładna panna może sobie poszukać młodszego*. Mama się roześmiała. Ojciec wtedy miał dwadzieścia siedem lat. Ale zapuścił brodę, nosił długie włosy i wyglądał bardzo poważnie. Mama kazała Ojcu zgolić brodę i jak następnym razem przyszedł do Mamy to zdziwiona Bierutowa powiedziała: – *No, tak. Teraz widzę, że to młody człowiek*. Ja też Janinę Bierutową znałem, bo była u nas w przedszkolu RTPD woźną. Zapamiętałem ją jak chodzi z kubłami i szczotką. a za nią

biegną nasze przedszkolne dwa psy Morus i Totka. Mama postanowiła natychmiast pójść do Bierutowej i przedstawić jej sprawę Pileckiego. Bierutowa nie była już woźną w przedszkolu tylko wysoką inspektorką w ministerstwie Oświaty. Przyjęła Mamę bardzo serdecznie i obiecała pomóc. Kiedy następnym razem Mama się z nią spotkała powiedziała ze smutkiem: – *Niestety pani Basiu nic mi się nie udało zrobić. Bolek odparł, że to jest sprawa polityczna i nie skorzysta z prawa łaski*. Tak więc niezłomny rotmistrz Witold Pilecki został rozstrzelany w 1948 roku. Jego kroki na dziedzińcu, jak prowadzą go do celi śmierci słyszał inny więzień Mokotowa, mój przyjaciel Janusz Krasiński, który opisał to w książce „Na stracenie”.



Tata, Igor Newerly, fot. Piotr Kirnarski

W magazynie „Culture Avenue” opublikował Pan dwa fragmenty książki „Ich lwi pazur” o polskim środowisku literackim. Czy może Pan coś więcej powiedzieć o tej książce?

Teraz zmieniłem ten tytuł na „Piórem, z lwim pazurem”. W tej książce wspominam moich przyjaciół pisarzy mojego pokolenia: Włodzimierza Odojewskiego, Janusza Krasińskiego, Marka Nowakowskiego, Jerzego Sito, Andrzeja Jareckiego, Władysława Terleckiego, Kazimierza Orłosia, Jerzego Krzysztonia i wielu

innych. Oprócz ich portretów starałem się pokazać jak wielką rolę w PRL odegrała mała sala Związku Literatów Polskich w Warszawie w walce o niezależność ludzi pióra i wolność słowa. Książka zaczyna się w 1960 roku z chwilą mojego przyjścia do radia, a kończy się teraz. Z perspektywy czasu widzę, że wielu pisarzy pokazało władzom partyjnym taki lwi pazur, dość że wspomnę tu chociażby Janusza Szpotańskiego, który za swoją bezkompromisową szopkę satyryczną na ekipę rządową Władysława Gomułki odsiedział trzy lata więzienia. Bardzo dokładnie opisuję w tej książce moją pracę w Polskim Radio, które przeżywało wtedy swój złoty okres. Wtedy narodziła się polska szkoła słuchowiska radiowego. Moja książka wciąż znajduje się w redakcji u redaktora Huberta Musiała, ale myślę, że w tym roku wyjdzie w wydawnictwie PIW.

Ukazały się też pana wspomnienia o wyjazdach z ojcem na wakacje p.t. „Mój dąb w Suwałkach". Jednocześnie w 2019 r. wyszła książka Marka Boruckiego „Wybitne dzieci sławnych Polaków", w której jest rozdział o Pana ojcu Igorze Newerlym i Panu. Jakie relacje łączyły Pana z ojcem? Czy był on dla pana wzorcem literackim?

Bardzo ciekawa książka Marka Boruckiego sprawiła mi ogromną radość. Znaleźć się wśród dwudziestu czterech rodów tak sławnych Polaków jak Aleksander Fredro, Stanisław Moniuszko, Zofia Nałkowska, Jacek Malczewski, Józef Chełmoński, Józef

Conrad – Korzeniowski czy Stanisław Wyspiański to prawdziwy zaszczyt. Jestem w tej książce jedynym żyjącym wybitnym dzieckiem. Marek Borucki pokazuje w swej książce, jak trudno jest udźwignąć dzieciom ciężar sławy swoich wielkich ojców. Doświadczyłem tego sam na sobie dlatego tak dobrze rozumiem świetnego malarza Rafała Malczewskiego, który pędzlem starał się odróżnić od swojego sławnego ojca. Ja, jak już wspomniałem, nie używałem nazwiska mojego Ojca to 1975 roku. W poczuciu własnej wartości uratował mnie teatr STS i dramaturgia radiowa i teatralna. To była moja mała wyspa ocalenia.

Przygotowujac nasze spotkanie rozmawiałam z prezes Fundacji PAW (Polish Artists in the World) – Henryką Mielczanowską, która jest kuratorem wystawy Edwarda Barana – artysty mieszkającego we Francji. Opowiadała, że Edward Baran wielokrotnie wspominał STS, cytując z pamięci teksty i śpiewając piosenki. Czy Pan go pamięta?

No jakżesz. Oczywiście. Wiedziałem, że wyjechał do Francji. Wysoki blondyn. Przez wiele lat pracował w STS-e i był bardzo lubiany. Zaprzyjaźniony z Wojtkiem Wichrzyckim, o którym wspomniałem. Pozdrawiam Cię najmocniej kochany Edziu i ogromnie się cieszę, że się odezwałeś.

W rozmowie, którą wykorzystałam w książce „Teatr spełnionych nadziei" powiedział Pan: – *W Toronto mam*

taką swoją polską wysepkę. Zauważyłem, że czym jestem starszy tym bardziej się izoluję. Nie mam ochoty wyjść na imprezę, gdy np. jest brzydka pogoda. W domu mam warunki, spokój i dobrze mi. W Warszawie ciągle coś mnie rozprasza, spotkania, wizyty, promocje. A tu mam cały dzień dla siebie, wyprowadzam tylko psa i piszę. **Czy nadal Toronto, to Pana wyspa?**

Tak. Mam tylko do dodania to, że wierny przyjaciel moich codziennych spacerów, pies corgy, nazwany na cześć Franka Sinatry, którego piosenki Wandzia uwielbiała, zmarł niestety w marcu 2020 roku w sędziwym psim wieku piętnastu i pół lat. Kiedy w klinice weterynaryjnej na pytanie jak się nazywa pies Wandzia mówiła: – *Franky. Jak Frank Sinatra,* wzbudzała tym zawsze salwy śmiechu. Franek był bardzo popularny w wieżowcu, w którym mieszkam. Jak sąsiedzi zobaczyli mnie samego zaraz pytali – *A gdzie Franky?* Gdy odpowiadałem, że nie żyję głęboko mi współczuli. Teraz jestem sam na mojej wyspie i jedynym ratunkiem jest pisanie.

31 stycznia 2021 roku odbyło się spotkanie z Jarosławem Abramowem-Newerlym przez platformę Zoom w ramach Klubu Historyka Austin Polish Society w Teksasie. Obecny wywiad utrwala oraz uzupełnia to, o czym rozmawialiśmy podczas spotkania (Joanna Sokołowska-Gwizdka).

„Bohdan, Bohdan trzymaj się”, słowa i muzyka Jarosław Abramow-Newerly, śpiewa Bohdan Łazuka

Część 1:

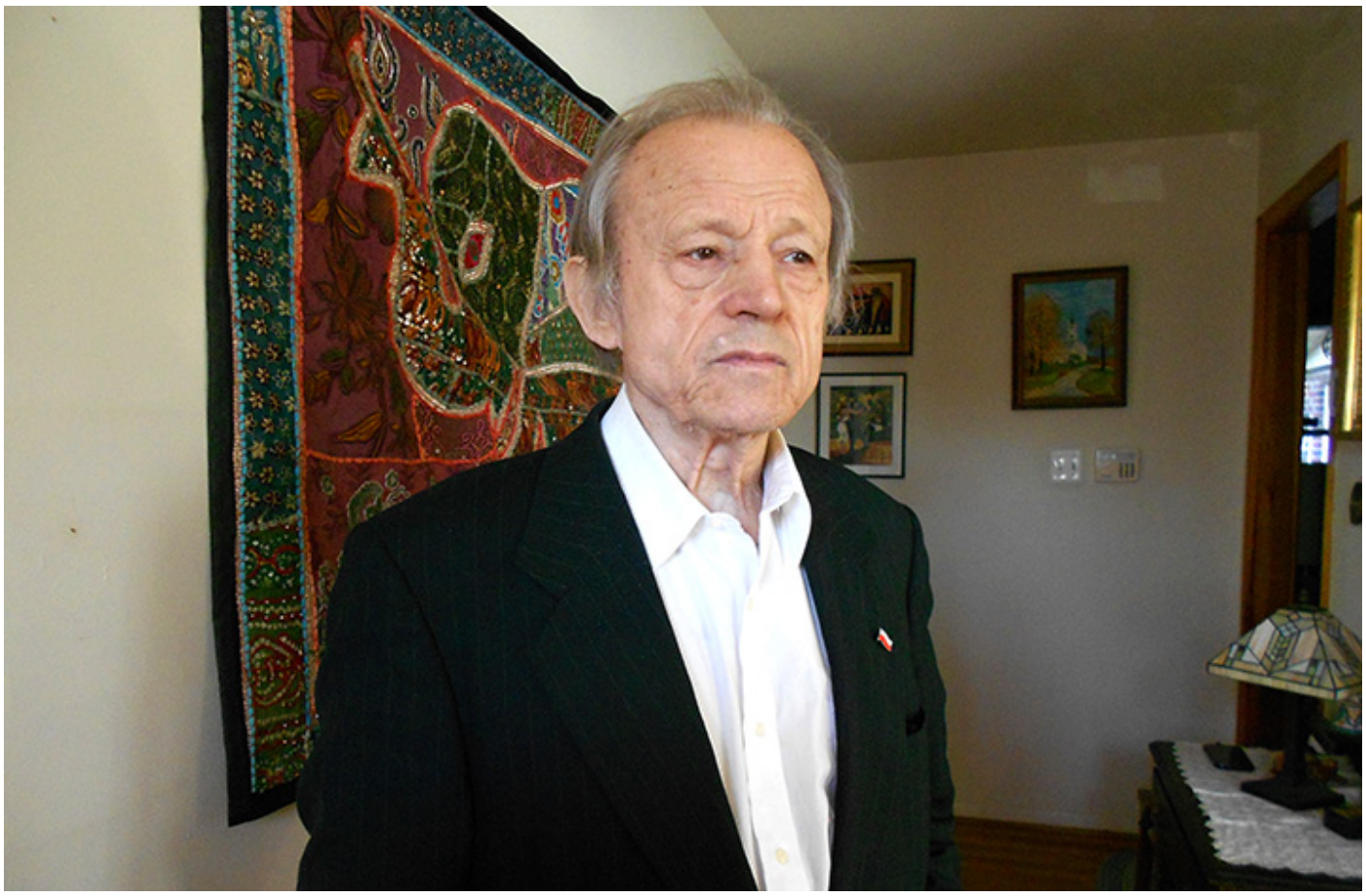
> Złączył nas czas. Część 1.

Zobacz też:

> W krzywym zwierciadle Jarosława Abramowa-Newerlego

Artysta i poeta. Tadeusz Turkowski.

Wspomnienie



Tadeusz Turkowski w Wilmington, Delaware, fot. Aleksandra Ziółkowska-Boehm

Aleksandra Ziółkowska-Boehm *(Wilmington, Delaware)*

Z Tadeuszem byłam głównie w kontakcie telefonicznym, czasami pisywaliśmy maile.

> Dziękuję za chwilę nieskończonej rozmowy dwa dni temu na Academy Road. Mam nadzieję, że będzie możliwe żebyśmy mogli się spotkać na trochę dłużej, żeby porozmawiać. Byłby to dla mnie wielki zaszczyt. Mam nadzieję, że nie zakłócam

> Pani spokoju. Może by to było możliwe jeszcze przed Pani wyjazdem do Polski.
>
> Pozdrawiam
>
> Tadeusz Turkowski

> Pani Olu!!!
>
> Jak się Pani czuje na tydzien przed odjazdem? Czy koty już wiedzą co ich czeka? Czy ma Pani juz zorganizowany dojazd na lotnisko? Skąd Pani odlatuje i czy Pani potrzebuje jakiejkolwiek pomocy?
>
> Pozdrawiam TT

Miłym wspólnym tematem były koty.

> Tadeuszu, kotek Sopelek rano się pojawił, siedział na parapecie okna.
> Otworzyłam drzwi, trochę zjadł, nie jest wygłodzony. Obszedł cały dom,
> otworzyłam drzwi do ogrodu – dałam mu kolejną porcję w

> ogrodzie.
>
> Część zjadł, część zostawił. Siedzi w ogrodzie i patrzy się na drzwi…

Odpowiedział:

> Olu -To dobra wiadomość.
>
> Stało sie tak jak przypuszczałem i wspomniałem w jednej z naszych rozmów.
>
> Widocznie doszedł do wniosku, że mu nigdzie nie będzie lepiej jak u Ciebie. Zadzwonię trochę później. TT

***

Tadeusz Turkowski miał piękny artystyczny życiorys – związany był między innymi z kabaretem „Hybrydy” w Warszawie. Przysłał swój biogram (jest na „Culture Avenue”):

Tadeusz Turkowski był aktorem legendarnego Studenckiego teatru “Hybrydy” w Warszawie w latach 1961-1973. Wraz z Janem Pietrzakiem i Janiną Ostalą występował w pierwszym

programie kabaretowym „Kąpiel w Rubikonie” (1961). Następnie w programach kabaretowych Wojciecha Młynarskiego “Radosna Gęba Stabilizacji” (1962) i “Ludzie to Kupią” (1963)). Jesienią 1963 roku Wojciech Młynarski odchodzi z teatru „Hybrydy”, do współpracy przychodzą: Jonasz Kofta, Stefan Friedmann i Maciej Damięcki. Zaczęła się era Jana Pietrzaka i Jonasza Kofty. Wraz ze Stefanem Friedmannem i Maciejem Damięckim, Tadeusz Turkowski kontynuuje swój udział w programach kabaretowych Jana Pietrzaka i Jonasza Kofty. Były to najlepsze lata kabaretu „Hybrydy”.

W czasie 12-letniej współpracy z teatrem „Hybrydy” Tadeusz Turkowski udzielał się również w licznych programach poetycko-muzycznych. Przyjaźnił się z wieloma młodymi poetami: Edwardem Stachurą, Zbigniewem Jerzyną, Barbarą Sadowską, recytując ich wiersze na spotkaniach autorskich.

W latach 1963 -1965 brał udział w Międzynarodowym Festiwalu Teatrów Studenckich w Rouen we Francji i na Festiwalu w Istambule w Turcji.

Po siedmiu latach kierowania teatrem Jan Pietrzak odszedł z „Hybryd” i założył kabaret ”Pod Egidą” z profesjonalnymi aktorami (m.in. Wojciech Siemion, Barbara Kraftówna, Kazimierz Rudzki). Tadeusz Turkowski odziedziczył po nim funkcję kierownika teatru, którą pełnił aż do chwili wyjazdu z Polski w

1973 roku.

Teatr „Hybrydy," jak sam twierdzi, był wielką przygodą w jego życiu. Równolegle studiował na wydziale Mechaniczno-Technologicznym Politechniki Warszawskiej, którą ukończył w 1966 roku.

Po przyjeździe do Stanów Zjednoczonych pracując w zawodzie jako inżynier, nigdy nie zerwał kontaktu z ukochanym językiem polskim i polską poezją. Od 40-u lat recytował polskie wiersze dla Polaków mieszkających w Ameryce. Uczestniczył w ponad 50-ciu różnego rodzaju spotkaniach i wieczorach poetycko-muzycznych. Występował w Polskich Fundacjach Kulturalnych, u Weteranów, w polskich klubach, kościołach, szkołach i w domach prywatnych. Występował również w Polonijnych Kabaretonach na Brooklinie organizowanych przez redaktora Janusza Szlechtę z „Nowego Dziennika", między innymi z wybitnym muzykiem saksofonistą Krzysztofem Medyną."

***

Szkoda, że nie miałam okazji wysłuchania Go w Salonach Artystycznych organizowanych w *Druch Studio Gallery* w Trenton, New Jersey. Natomiast wysłuchałam jego deklamacji wierszy w 100-lecie *Polskiego Uniwersytetu Ludowego (PUL*), które to uroczystości odbywały się w Domu Polskim przy

Academy Road w Filadelfii w trzecią niedzielę marca 2019 roku.

Chyba byłam jedyną – lub jedną z niewielu osób, której się zwierzył, że sam także pisał wiersze. Przysłał mi kilka, przeczytałam i bardzo mi się spodobały. Dużo przy nich pracował, udoskonalał. Kilka wydrukowanych zostało w „Culture Avenue", internetowym piśmie poświęconym kulturze polskiej poza krajem. Prowadzi je Joanna Sokołowska-Gwizdka, autorka m.in. książki o Helenie Modrzejewskiej.

Wiersze, które czyta Tadeusz, są na internetowym *You Tube*. Nagrał je Tomasz Masłowski.

Wiersze Tadeusza Turkowskiego są przejmujące i piękne. Ładnie o nich napisała Marta Jóźwiak z Nowego Jorku (za pozwoleniem przytaczam jej opinię).

> Wiersz Tadeusza Turkowskiego „Śmierć ziemi" jest niezwykle poruszający. Przypomina w wymowie katastroficzne hymny Jana Kasprowicza. Jest jednak różnica. Tutaj autor nie oskarża Boga, inaczej – nie wadzi się z Bogiem, ale oskarża człowieka, niszczyciela Matki Ziemi. Co więcej, pokazuje człowieka w szerszym negatywnym świetle. Współczesny człowiek wcale nie brzmi dumnie. Ale jest w tym wierszu coś pięknego – sakralizacja i personifikacja

> natury – drzewa jako symbolu życia (…).

> Bardzo intrygujące są te wiersze i ten skierowany do kolegów i przyjaciół, podsumowanie i rozliczenie się z życiem artystycznym.
>
> Barokowe, ale jakże proste w formie są jego erotyki, pełne marzeń i wspomnień. Paralelne powtórzenia (anafory) *„Chciałbym”*, *„Z powrotem”* podkreślają siłę tych uczuć, które pozostają tylko pragnieniami.
>
> (Marta Jóźwiak, Nowy Jork)

***

Gdy wiersz „Pogrzeb ziemi” został umieszczony w „Culture Avenue” przed Wielkanocą 2019 r. napisał do Joanny Sokołowskiej-Gwizdka:

> Szanowna Pani Joanno
>
> Dziękuję. Właśnie przed chwilą przeczytałem wiersz i prawdę mówiąc, zaniemowiłem. Forma w jakiej go Pani

> opublikowała jest absolutnie reewelacyjna.. Delikatne przerwy między zwrotkami, rodzaj pisma, nadają temu wierszowi wyjątkowo subtelne i jednocześnie dostojne znaczenie. To, że został opublikowany odzielnie i ~~tylko~~ dzisiaj przed Świętami było bardzo ważne. Dzięki Pani i Oli dzisiejszy dzień jest dla mnie wyjątkowym dniem w moim życiu. Dziękuje i pozdrawiam.
>
> Tadeusz Turkowski.

***

Tadeusz miał czarną kotkę, która się okociła. Opowiadał o kociętach z wielką radością. Gdy podrosły, przekazał je do schroniska do adopcji.

Po nagłej śmierci Tadeusza… Jego kotka kilka dni była sama w domu, bez jedzenia. Telefonowałam do schroniska i na policję. Pomogli także przyjaciele Tadeusza – Joanna i Krzysztof Lada, wspólnie spędzali święta. Kotka została zabrana do schroniska w Trenton, NJ, gdzie oczekuje na adopcję.

Urodzony 16 czerwca 1937 roku – zmarł w lutym 2021 roku w Trenton, New Jersey. Nie znamy dokładnej daty. Zmarł w samotności.

***

Żal mi jego niepokazanych, nieukończonych, a także tych jeszcze nienapisanych wierszy, bo wierzę, że napisałby ich wiele.

> **Tadeusz Turkowski**
>
> **Z POWROTEM**
>
> Z powrotem będzie dużo łatwiej
>
> Z powrotem będzie z górki z wiatrem
>
> *
>
> Z powrotem się nie musisz martwić
>
> Że sił ci może nie wystarczy
>
> *
>
> Że mi zasłabniesz gdzieś po drodze
>
> Pełnej wybojów niepowodzeń

*

Z powrotem jeśli trzeba będzie

Zmęczoną wezmę cię na ręce

*

I ostrożniutko pod twą głowę

Podłożę chmurkę kolorową

*

Z powrotem nigdy, nigdy więcej

Nie zrani twego moje serce

*

Z powrotem zawsze, nawet we śnie

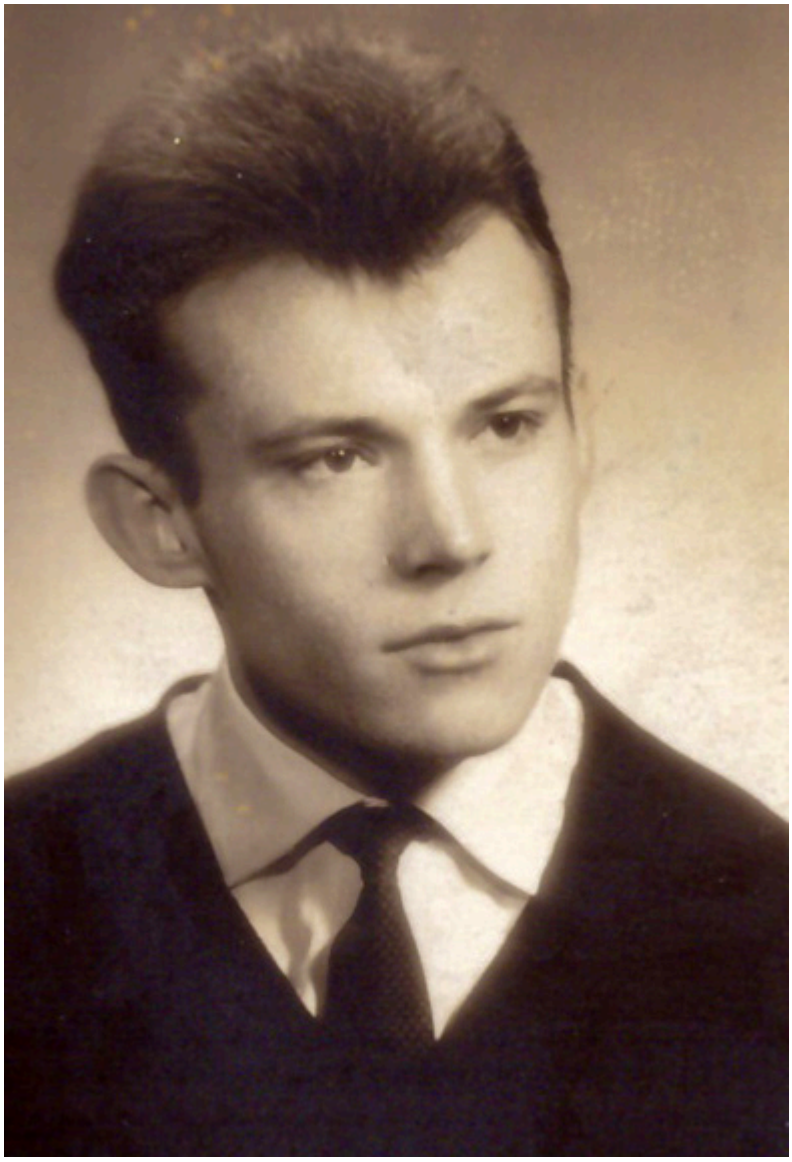
Ogrzeje w moich twoje ręce

*

> Mądrzejszy, choć mniej zdarny trochę
>
> Nie spuszczę z oka Cię z powrotem
>
> *
>
> I serce moje rozszalałe
>
> Bić będzie cicho, albo wcale.

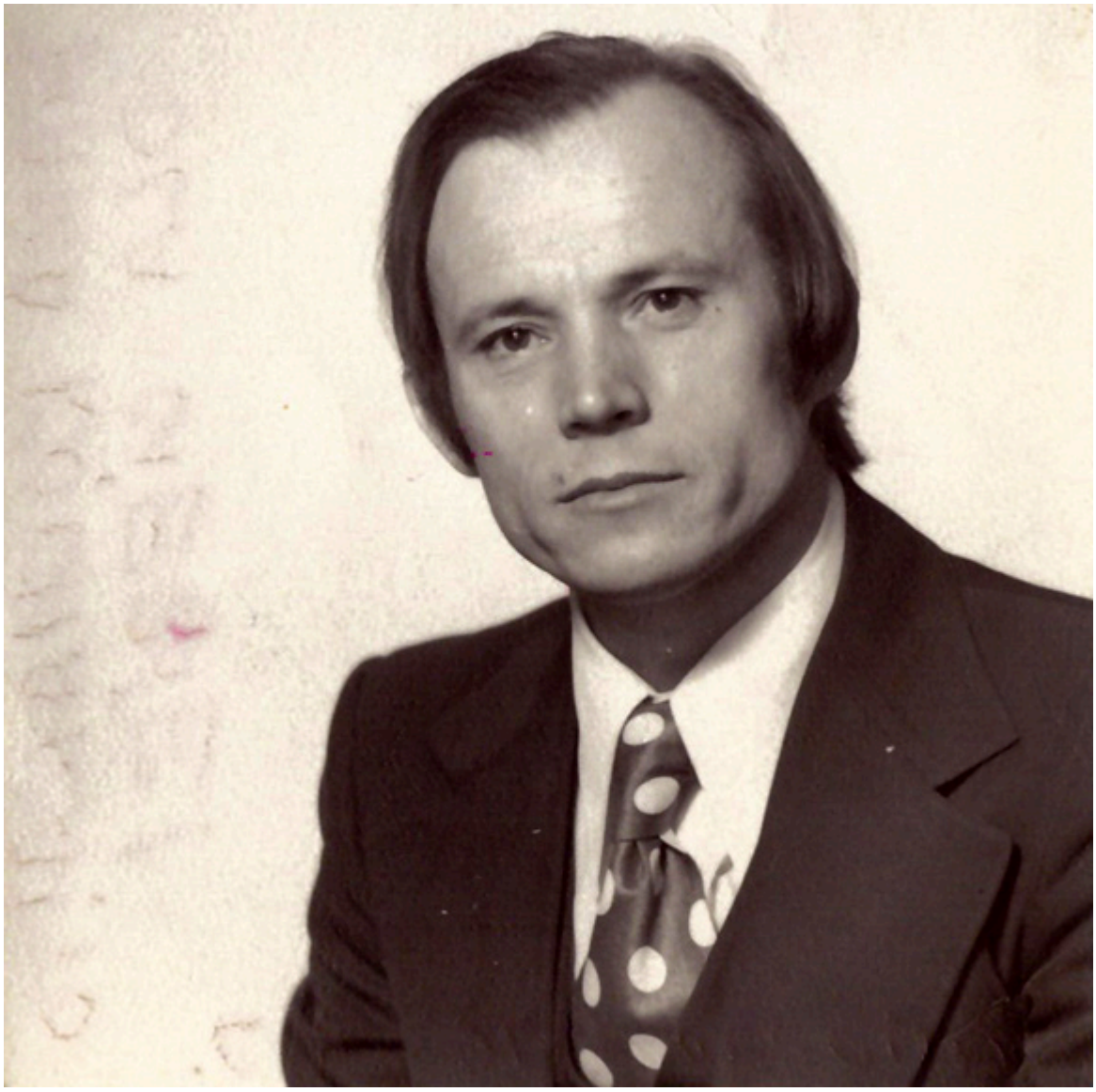
Tadeusz Turkowski (1937-2021)

Fotografie pochodzą z archiwum rodziny Turkowskich

- 

- 















Wiersze Tadeusza Turkowskiego opublikowane w magazynie „Culture Avenue”:

> Wiersz „Pogrzeb ziemi”

> Zaduszki i inne wiersze

Zdzisława Donat – słynny sopran koloraturowy



Zdzisława Donat , fot. arch. prywatne artystki

Aleksandra Ziółkowska-Boehm:

Urodziła się Pani w Poznaniu w rodzinie miłośników muzyki. Ojciec Kazimierz – przedsiębiorca – był wielkim melomanem, matka Maria – sopran – ukończyła prywatną szkołę muzyczną, debiutowała przed wojną w Filharmonii Poznańskiej i Polskim Radiu. Po II wojnie światowej uczyła gry na fortepianie i akordeonie. Pani siostry: Teodozja (dr laryngolog-foniatra) i Kinga (dr psycholog,

muzykoterapeuta) ceniły muzykę i śpiew. Jak zapamiętała Pani atmosferę domu rodzinnego?

Zdzisława Donat:

Dom był pełen muzyki. Matka grając na fortepianie śpiewała nam do snu kołysanki m.in. Mozarta, Brahmsa. W czasie okupacji odbywały się w naszym mieszkaniu tajne, zakazane koncerty. Matka śpiewała swym pięknym koloraturowym sopranem, akompaniował jej młody syn Feliksa Nowowiejskiego – Kazimierz. Także sam kompozytor prezentował swoje utwory. Wraz z siostrami uczyłam się gry na fortepianie, z rodzicami chodziłam do filharmonii i opery. W dzieciństwie – pamiętam – rodzice popisywali się również moją koloraturką. Ukończyłam Politechnikę Warszawską w specjalności przyrządy optyczne, jednak pozostałam wierną muzyce i kontynuowałam równolegle studia muzyczne .

Chcę przywołać wybitną pisarkę emigracyjną blisko z Panią spokrewnioną Danutę Mostwin, która zmarła w 2010 roku w Baltimore. Mówiła o Pani zawsze z dumą. Jak ją Pani pamięta?

Danutę, żonę mojego kuzyna Stanisława Niedbała, poznałam gdy przyjechała do Polski w latach 80., wcześniej nie mogła ze względów polityczno -ustrojowych. Ofiarowała mi swą książkę

„Dom starej lady” (1958 r.) o losach byłych polskich żołnierzy, którzy pozostali w Anglii na emigracji, i „Szmaragdową zjawę” (jedną z części rodzinnej sagi) z przemiłym wpisem: *Zdzisi dzielnej, uroczej i kochanej przypominając czasy, które stają się historią, autorka, W-wa 14 lipca 1989.* Później podarowała mi wydaną w Londynie wspaniałą „Tajemnicę zwyciężonych” (1992) o Polakach walczących w czasie okupacji, połączonych wspólną tajemnicą, w tym o bohaterskich Cichociemnych, pilotach zrzuconych do kraju. Należał do nich także jej mąż Stanisław Niedbał ps. Bask. Zrzucony 10 maja 1944 r, miał wtedy 27 lat, był jednym z 29-u emisariuszy i kurierów Rządu Polskiego na Emigracji.

Które książki Danuty Mostwin szczególnie Pani ceni?

„Odchodzą moi synowie” i biograficzną „Tajemnicę zwyciężonych”; w książce „Trzecia wartość” zainteresowały mnie poruszane problemy przystosowania się rodzin emigrantów do nowych warunków życia.

Studiowała Pani śpiew w Warszawie i w Sienie, gdzie Pani nauczycielem był włoski baryton Gino Bechi, znany ze śpiewania m.in. Giuseppe Verdiego. Jak wspomina Pani pierwsze spotkanie z tym sławnym barytonem?

Z Ministerstwa Kultury otrzymałam stypendium na studia w

Accademia Chigiana. Byliśmy wraz z Andrzejem Saciukiem i Markiem Dąbrowskim dobrze „zapowiadającymi się” młodymi artystami. G. Bechi powiedział do mnie: *Bella voce, che bella voce*! Ale śpiewaj: *con gli occhi, con cuore* (oczami, sercem). Zapamiętałam także: *meglio una nota brutta ma con cuore* (lepsza nuta brzydka, lecz zaśpiewana z sercem).

W życiorysie czytam, że zaobserwowała Pani, że wielu znanych śpiewaków operowych, na przykład Bogna Sokorska, Bernard Ładysz czy Bogdan Paprocki, występowało początkowo w zespołach wojskowych. Po lekturze ogłoszenia w prasie, że Centralny Zespół Artystyczny Wojska Polskiego poszukuje solistów, zgłosiła się Pani na przesłuchanie i została solistką tego Zespołu zdobywając pierwsze kroki estradowe, przełamując tremę. Jak po latach patrzy Pani na ten okres?

Była to dla mnie swoista lekcja występów przed publicznością, oswajanie tremy. Dziś brzmi to dziwnie, ale wtedy w szkołach muzycznych nie było jeszcze zajęć z aktorstwa, treningów autogennych, ani studenckich przedstawień na deskach operowych. Obecnie młodzi mają taką szansę w ramach kształcenia. Dlatego dla mnie ta praktyka była zbawienna.

Debiutowala Pani w Poznaniu jako Gilda w „Rigoletto”, wystąpiła potem w Warszawie, także w Monachium,

Buenos Aires, Rzymie, Pradze, Neapolu, Brukseli, Moskwie, Helsinkach, Wiedniu, Weronie, Japonii. Była Pani pierwszą – po Adzie Sari – Polką po II wojnie światowej, która partię Królowej Nocy śpiewała na scenie mediolańskiej La Scali. To było wielkie przeżycie i wielka radość także dla Polski.



Zdzisława Donat, Grand Theatre de Geneve, fot. arch. prywatne artystki



Królowa Nocy, Gaertnertheater, Monachium 1972 r., fot. arch. prywatne artystki

Słynną partię Królowej Nocy w „Czarodziejskim Flecie” W. A. Mozarta śpiewała Pani w 52 teatrach operowych (swoisty rekord!) – między innymi w *Covent Garden*, na największych scenach świata, także w Stanach Zjednoczonych: w operze San Francisco i w *Metropolitan Opera*, w Seattle. Również na *Arena di Verona* z kilkudziesięcioma śpiewakami w słynnym wielogodzinnym

wieczorze „Opera for live”. A w MET-Opera w 80 lat po naszej sławnej Marcelinie Sembrich-Kochańskiej. Jak Pani pamięta amerykański okres?

W 1975 roku występując w operze San Francisco jako Królowa Nocy znalazłam w programie przy swoim nazwisku dwie gwiazdki – tak podkreślano wtedy amerykański debiut śpiewaczki! W 1981 r. w *Metropolitan Opera* w Nowym Jorku śpiewałam Królową Nocy w przyciągających dodatkowo publiczność dekoracjach i kostiumach projektu Marc’a Chagall’a. Mówiło się, że była to największa wystawa malarstwa żyjącego artysty. Wspominam z przyjemnością moich wybitnych partnerów, jak: Kathleen Battle, Lucia Popp, Matti Salminen, Martti Talvela, Christian Boesch, Tom Allen, David Rendall; znakomitą akustykę, publiczność i niezwykłą atmosferę tego wspaniałego teatru.

Nagrała Pani „Requiem, Missa pro defunctis” Romana Maciejewskiego dyr. T. Strugała (Polskie Nagrania), operę Paisiella „La serva padrona” dyr. J. Dobrzański (PN), arie operowe na „Z. Donat. Sławni polscy śpiewacy” (PN vol.8).

Opery: „Die Zauberfloete” Mozarta pod dyr. James Levine (RCA), „Die Entfuehrung aus dem Serail” Mozarta, dyr. G. Bertini (ZDF), „Der Schauspieldirektor” Mozarta dyr. F.Layer (ORF). Koncert: „Arena di Verona – Opera for

Africa” dyr. R. Paternostro i inne . Śpiewała Pani „Te Deum” Pendereckiego, „Chrystus na Górze Oliwnej” Beethovena…

Zdobyła Pani *Premier Grand Prix* na Międzynarodowym Konkursie Śpiewu Solowego w Tuluzie (1967) i w ramach nagrody wystąpiła w Opera du Capitole jako Rozyna w „Cyruliku sewilskim” (wykonując po francusku wersję sopranową tej partii). Pisano, że stworzoną dla Pani głosu była rola Łucji z Lammermoor (1968). Prawdziwy zachwyt wzbudzała Pani w repertuarze Mozarta i Pani śpiew w „Czarodziejskim flecie” został legendą. W „Czarodziejskim flecie’ w roli Królowej Nocy olśniła Pani Monachium i inne miasta Europy. Występowała Pani jako Królowa Nocy na scenach w Mainz, Teatro San Carlo w Neapolu, Hamburgu, Norymberdze, wiedeńskiej *Staatsoper*, Wiesbaden, Frankfurcie, Mannheim, Luxemburgu, Seattle, Portland, Vancouver, Tokio, Atenach i innych.

Prasowe relacje były znakomite – pisano z zachwytem o Pani głosie w „Opera News”, „The Observer”, „The Sun”. Pani Zdzisławo, czy dla Pani Mozart był i jest najwspanialszym kompozytorem?

Mozart uprawiał wszystkie gatunki muzyczne swojego czasu – każdy jest szczytem doskonałości. Brawurowe koloratury,

sięgające stratosferycznych rejestrów głosu w jego ariach operowych – ariach Królowej Nocy, M-me Herz oraz w ariach koncertowych jak „Popoli di Tessaglia", „Mia speranza adorata", fascynowały mnie i były kuszącym wyzwaniem. Śpiewałam wszystkie możliwie dostępne dla mego rodzaju głosu jego utwory i po zapoznaniu się przechodziłam z takim samym entuzjazmem do poznawania dzieł także innych kompozytorów. Fascynował mnie K. Szymanowski: „Stabat Mater", „Litania do Najśw. Marii Panny" itd, itd…. I to jest wspaniałe w moim zawodzie, stale można poszukiwać i ten zachwyt nad nowo poznaną pozycją repertuarową przekazać dalej słuchaczom.

Śpiewała Pani niejednokrotnie tę samą operę w kilku językach. Czy jest to swoiste wyzwanie dla śpiewaczki?

Role operowe jak np. Łucję, Gildę, Rozynę, Violettę czy Królową Nocy wykonywałam zarówno w języku niemieckim, włoskim jak i polskim. A tą ostatnią dodatkowo w angielskim. Rozynę także po francusku. Nie stanowiło to dla mnie problemu. Naturalnie trochę czasu potrzeba, aby się przestawić i przypomnieć sobie. Jednak – co jest satysfakcjonująco odczuwalne – że publiczność inaczej, żywiej reaguje, gdy rozumie operę śpiewaną w języku sobie znanym.

Otrzymała Pani piękne recenzje. Po premierze w Monachium dla recenzenta w „Süddeutsche Zeitung" była

Pani niczym *postać z miedziorytów z okresu wczesnego romantyzmu, z rycerskich romansów. Jest oszczędna w geście, w śpiewie zaś wyrafinowaną barwę stawia ponad efekciarstwo brzmienia: Scena obłędu, druga perła tej opery, którą z braku innych określeń nazywaliśmy całym łańcuchem uniesień, to najtrudniejsza próba możliwości śpiewaczki o najwyższym poziomie* – pisał recenzent „Badische Neueste Nachrichten" po premierze w Karlsruhe. Pięknie pisano w „Frankfurter Allgemeine": (...) *Pani Donat śpiewa koloratury również w legato, pozwala im się rozwijać z melodii jakby przypadkowo i zachowuje przy tym zawsze swój czarowny, dźwięczny tembr głosu, co jej Łucji pozwala uzyskać znacznie więcej wyrazu, aniżeli zdarza się to często nawet przy najwyższej perfekcji*.... Czy takie entuzjastyczne recenzje cieszą wciąż po latach?

Artysta czuje się spełnionym, gdy uzyskuje potwierdzenie zarówno u publiczności jak i u recenzentów, że występ się spodobał. Wracam myślami do tego okresu mojego życia i jestem wdzięczna losowi, że pomógł mi przeżyć te wspaniałe chwile kontaktu z widzami. A recenzje, jak wspomniałam, dają świadectwo rezultatu tych wielogodzinnych ćwiczeń, prób i wysiłków jakie wkładamy w naszą aktywność sceniczną.



Zdzisława Donat, fot. Zofia Nasierowska, arch. prywatne artystki



Królowa Nocy, opera „Czarodziejski flet”. Royal Opera House, Londyn, 1979, fot. Clive Barda, arch. prywatne artystki

Występowała Pani w amfiteatrach na Międzynarodowych Festiwalach Operowych…

Szczególnym wspomnieniem są dla mnie występy na otwartych scenach, jak np. amfiteatr Odeon w Atenach pod Akropolem *Herodes Atticus*. Zachwyca znakomita ich akustyka i lekkość z jaką tam się śpiewa. Niepotrzebne ani nagłośnienie, ani

mikrofony. Głos, jak my mówimy, sam niesie. Podobne wrażenie miałam w amfiteatrze rzymskim w Orange we Francji. W obu, w ramach Festiwali śpiewałam w „Czarodziejskim flecie" W. A. Mozarta.

Natomiast w *Arena di Verona* – gdzie z inicjatywy Jose Carrerasa wzięliśmy udział we wspomnianym już, wielogodzinnym koncercie na rzecz głodujących w Afryce, cała wielotysięczna widownia na zakończenie powstała i zaśpiewała z nami *Va pensiero* – chór niewolników z opery „Nabucco" Verdiego. Wzruszające…

Nadmienię jeszcze jedną, otwartą scenę, na jeziorze Bodeńskim. Na niej, pływającej wyspie, podczas *Bregenzer Festspiele* wystąpiłam w partii Konstancji w operze „Uprowadzenie z seraju" – Mozarta. Zarówno dla nas, jak i dla publiczności, te sceny stanowią wyjątkowe przeżycia.

Jak pisze Jan Stanisław Kiczor („Pisarze. pl", 7 sierpnia 2017) – została Pani pedagogiem wokalistyki. W latach 1994-98 prowadziła Pani klasę śpiewu w Akademii Muzycznej w Krakowie (Na tej uczelni nadano Pani tytuł profesora zwyczajnego), później współpracowała Pani z Uniwersytetem Muzycznym Fryderyka Chopina w Warszawie, a także w Korei Południowej – w kształcącej muzyków placówce powiązanej z warszawską. Czy wielką

satysfakcją jest uczyć młodych ludzi?

Kształcenie w śpiewie jest w moim odczuciu ekscytujące. Dbając o prawidłową emisję, wrażliwość muzyczną, sztukę interpretacji, wspomaga się równocześnie rozwój intelektualny utalentowanej osoby. Powołuje się do istnienia kolejną indywidualność.

Jan Stanisław Kiczor zacytował Pani stwierdzenie: *Nie cierpię dystansu między ludźmi. Co cenię najbardziej? Odpowiedzialność.* Czy dalej tak Pani uważa?

Uważam, że poczucie odpowiedzialności jest zawsze cenne.

Kogo teraz Pani podziwia za śpiew?

Mamy wspaniałą polską szkołę śpiewu. Młodzi artyści zdobywają estrady światowe idąc śladami Piotra Beczały, Mariusza Kwietnia, Aleksandry Kurzak, Artura Rucińskiego, Rafała Siwka i wielu innych.

Osiągnęła Pani sławę i sukces. Jakie jest Pani przesłanie – co liczy się w życiu?

Pasja, praca, uczciwość, przyzwoitość… Odczuwam radość z osiągnięć, mam także świadomość że pochłaniająca mnie całkowicie pasja zawodowa uszczupliła czas dla mojej rodziny.

Przepełnia mnie ogromne uczucie wdzięczności dla mego męża śp. Tadeusza i syna Błażeja. Wspierali mnie i pozostawiali swobodne pole działania w podejmowaniu decyzji o występach. Tak dalekich przecież od naszego domu.

Pani Zdzisławo, czy śnią się Pani po nocach występy w wielkich słynnych operach?

Tak. Przypominają mi się wtedy także… chwile przerw w próbach, gdy z moimi partnerami operowymi szybko, ale jakże intensywnie rozmawialiśmy o rodzinach, domu. To nas wiązało w trwałe przyjaźnie. Wspominam np. moje sceniczne córki, Paminy np.: I. Cotrubas, Kiri Te Kanawa, E. Mathis, B. Hendriks, K. Battle… Wspaniałe głosy kolegów, jak K. Moll, P. Schreier, K .Rydl, J.van Damm, E. Tappy, F. Araiza, S. Estes, R. Lloyd, E. Nesterenko i wielu, wielu innych. Na przykład, śni mi się, że kurtyna idzie w górę, stoję na jakiejś scenie… nie wiem gdzie… nie wiem co mam śpiewać… Budzę się i myślę, jak dobrze, że to tylko sen… Uff!…

Wywiad ukazał się [w:] Aleksandra Ziółkowska-Boehm, Radość ze scenicznych osiągnięć i wdzięczność dla rodziny, „Nowy Dziennik", NY 17-23 października 2020, s. 26.

Książki pod choinkę



Joanna Sokołowska-Gwizdka *(Austin, Teksas)*

Co roku w okresie Świąt Bożego Narodzenia zastanawiamy się, jaką radość sprawić bliskim, czym zapełnić miejsce pod choinką, żeby zobaczyć uśmiech rodziny czy przyjaciół. W tym roku pandemia spowodowała, że nie będziemy chodzić po sklepach i wsłuchiwać się w przedświąteczny gwar dużych centrów handlowych. Może to i dobrze, nie będziemy kuszeni obniżkami cen i kolorowymi reklamami, aby pod wpływem chwili kupić

rzeczy niepotrzebne, które będą zalegać na półkach i które wcześniej czy później wyrzucimy.

Ale możemy podarować bliskim emocje, które na długo zostaną. Prezentami, które niosą w sobie coś więcej niż tylko krótkotrwałe zainteresowanie, zawsze są odpowiednio dobrane książki. Dzięki nim poznajemy świat, uczymy się, rozwijamy wyobraźnię. W czasach niebywałej ekspansji Internetu i łatwości w dostępie do nieskończonej ilości filmów, jakże często zapominamy o czytaniu. A przecież żaden, nawet najlepszy film nie zastąpi książki, w której to my jesteśmy reżyserami obsadzającymi role, wyobrażamy sobie twarze bohaterów, jak mówią, jak się poruszają, musimy wczuć się w ich otoczenie, życiową sytuację, przeżyć to, co oni przeżywają i wyobrazić sobie konkretne miejsce, w którym toczą się czyjeś losy. Nie rezygnujmy z czytania, bo zubożamy swoją wyobraźnię.

Pandemia uderzyła najbardziej w artystów, muzyków, pisarzy, czyli wszystkie te zawody, których egzystencja zależy od wernisaży, występów, a sprzedaż książek jest warunkowana ilością spotkań autorskich. Ucierpiały też małe biznesy, których istnienie zależy od ilości klientów. Możemy zatem podarować bliskim ciekawą lekturę, a jednocześnie pomóc przetrwać pisarzom i polskim księgarniom na emigracji.

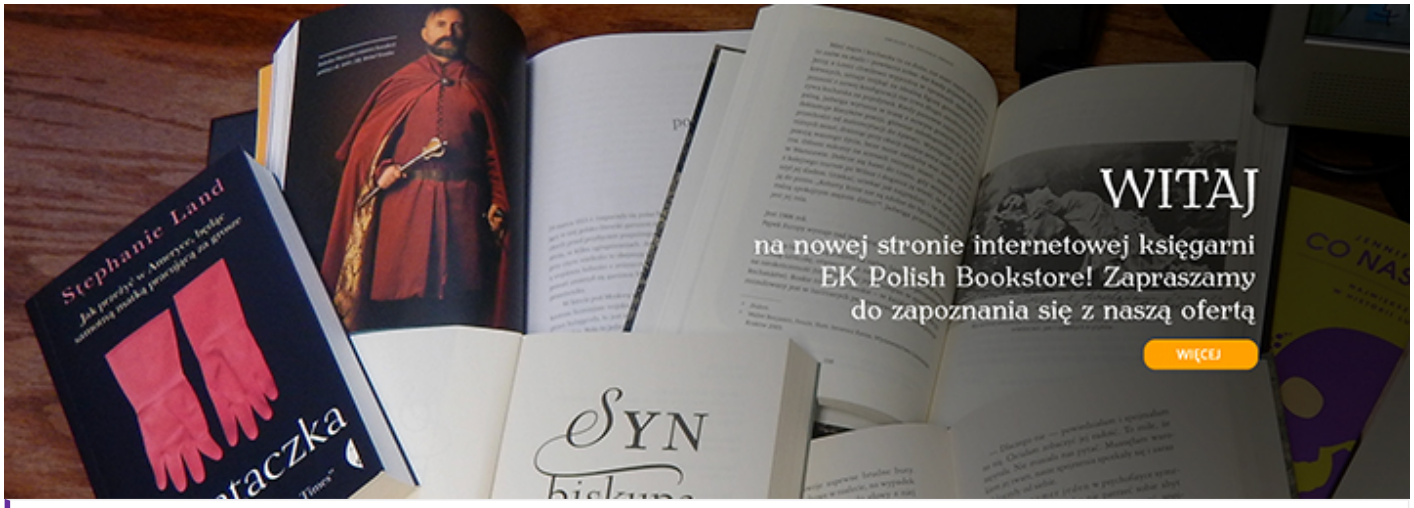


Elżbieta Kieszczyńska

Właścicielką **EK Polish Bookstore** w New Jersey jest Elżbieta Kieszczyńska. Prowadziła ona przez wiele lat księgarnię „Nowego Dziennika” w Nowym Jorku. Idąc na różnego rodzaju imprezy kulturalne i wieczory autorskie organizowane przez redakcję, trzeba było przejść przez księgarnię, która przyciągała uwagę najnowszymi, precyzyjnie dobranymi polskimi publikacjami. Od 2011 roku Elżbieta Kieszczyńska ma własną księgarnię, a w październiku 2020 r. została uruchomiona strona internetowa, dzięki której czytelnicy będą mogli nie tylko

zamawiać interesujące ich pozycje przez Internet, ale także czytać ukazujące się tam opowieści o książkach i ich autorach.

Strona EK Polish Bookstore – ekbookstore.com:



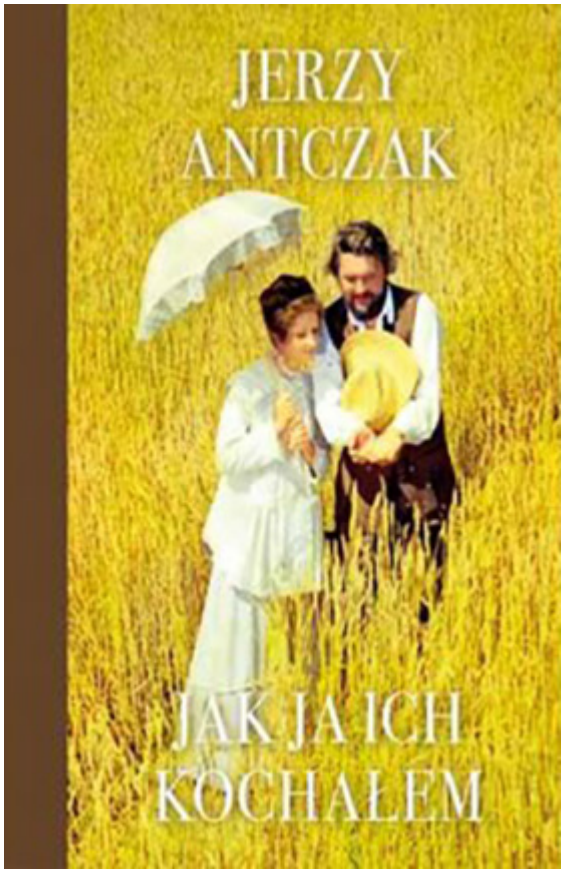
START

– Mam nadzieję zbudować coś więcej niż tylko sklep – powiedziała Elżbieta Kieszczyńska o nowej stronie internetowej w wywiadzie udzielonym Anecie Radziejowskiej, który ukazał się w „Nowym Dzienniku”. – Chcę, żeby klienci na nią wchodzący poczuli się tak, jakbym przyjmowała ich osobiście, z naszą tradycyjną, polską gościnnością.

– Będę pisać blog – mówi dalej w tym samym wywiadzie. – Nigdy wcześniej o tym nie myślałam, zawsze byłam skupiona na książce jako takiej. Ale myślę, że ta forma kontaktu z klientem może być

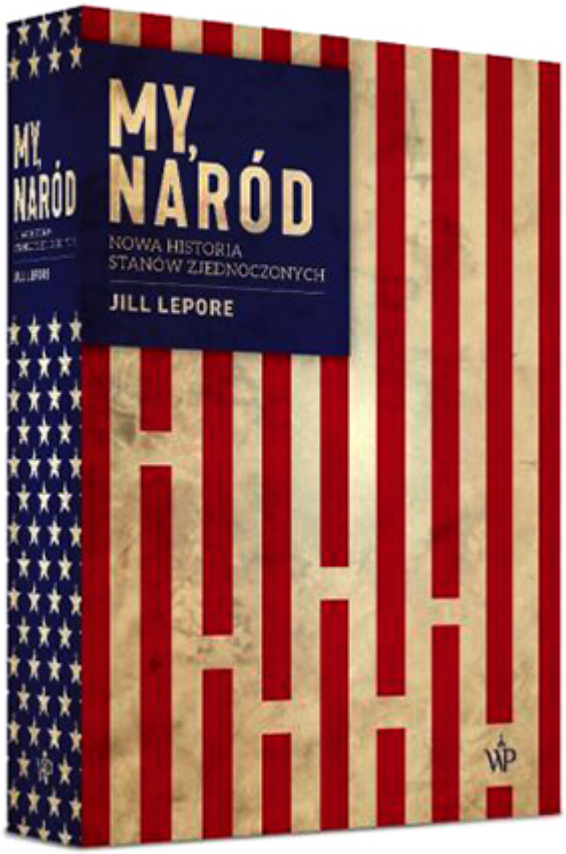
równie osobista jak rozmowa telefoniczna. Gdy tylko coś ciekawego dostanę, przeczytam, uznam za warte podzielenia się, będzie to od razu widoczne na stronie księgarni. (…) Mam nadzieję, że wokół strony zbuduje się grupa miłośników polskiej literatury, że będziemy wymieniać się wrażeniami z czytania i wzajemnie rekomendować przeczytane tytuły.

Właśnie przyszła nowa dostawa książek z Polski, są nowe tytuły na Święta. Wśród książek, które znalazły się w księgarni Elżbieta Kieszczyńska wymienia m.in. najnowsza książkę reżysera „Nocy i dni" Jerzego Antczaka, ponad 700 stronicową historię życia, którą czyta się jednym tchem „Jak ja ich kochałem".



– Miałam przyjemność rozmawiać z panem Jerzym Antczakiem –

mówi Elżbieta Kieszczyńska – i to nie tylko raz, kiedy zbierał materiały do książki i prosił mnie o ściągnięcie do Kalifornii paru tomów potrzebnych do pracy. Rozmowę pamiętam, była ciekawa, pełna wigoru. Dla mnie jednak najważniejszy był głos pana Antczaka. Ciepły, niski ze znakomitą dykcją! Nie wiem, czy pan Antczak kiedykolwiek brał udział w jakiejś radiowej aktywności. Ale barwa głosu była niezwykła. Tak więc tom wspomnień, autobiografia pod tytułem „Jak ja ich kochałem” jest już do kupienia. A w środku wszystko czym pan Antczak się zajmował: kilkadziesiąt lat reżyserskiej aktywności na rzecz telewizji i teatru! Książka stanie się też lustrem w którym będzie można dostrzec wszystkie te dalsze i bliższe osoby, które pan Antczak pokochał.



Inną książkę, która znalazła się w księgarni właścicielka tak rekomenduje:

– Ponad sto dwadzieścia stron więcej ma zapierająca dech w piersi nowa historia Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej pod tytułem: „My naród”. Napisana przez panią Jill Lepore. To urodzona w 1966 roku pani profesor z Harvardu już w wieku sześciu lat uznała, że będzie zajmować jak pisaniem. Pierwsze próbki tekstu pisała na maszynie do pisania w gabinecie ojca, dyrektora szkoły. Teraz, w 2020 roku, marzenie przyniosło plon. Pani Jill Lepore należy do dziennikarzy „The New Yorkera”, jej książka „My naród” (w oryginale „These Truths: A History of the United States”) została uznana przez magazyn „Time” za najciekawszą książkę niebeletrystyczną dekady. Jest finalistką National Book Award, the National Magazine Award i dwa razy kandydowała do nagrody Pulitzera. Została m.in. wybrana do Amerykańskiej Akademii Sztuk i Nauk i do Amerykańskiego Stowarzyszenia Filozoficznego. Jeździ z wykładami po uniwersytetach amerykańskich i kanadyjskich. Mieszka w Cambridge wraz z mężem i trójką synów. W wolnych chwilach maluje murale.

Oryginał „My, naród” liczy 932 strony i ukazał się drukiem we wrześniu 2018 roku. Jak wyznała w wywiadzie do New York Times’a: „Piszę niezwykle precyzyjnie i dla każdego rozdziału jestem w stanie przeczytać miliony książek”.

Jak podaje Wydawnictwo Poznańskie w tekście poświęconym polskiemu wydaniu książki: „Wobec konfliktów, które aktualnie wstrząsają Ameryką, książka Jill Lepore znakomicie wyjaśnia źródła ich pochodzenia oraz daje nadzieję na ich twórcze przełamanie“.



W księgarni Elżbiety Kieszczyńskiej jest również moja książka „Teatr spełnionych nadziei. Kartki z życia emigracyjnej sceny” opowiadająca o niezwykłych losach artystów tworzących polski teatr w Toronto. Nakład w Ameryce już się prawie wyczerpał, na Amazon jest niewiele egzemplarzy, jeśli zatem ktoś chciałby przeczytać historię krakowskich aktorek Marii Nowotarskiej i jej córki Agaty Pilitowskiej, które polskimi sztukami zawojowały świat, to w tej księgarni kilka książek jest jeszcze dostępnych.

Jedna z recenzji książki:

> Więcej niż monografia. „Teatr spełnionych nadziei” Joanny Sokołowskiej-Gwizdka.

Pragnę również zachęcić do kupowania na prezenty dla amerykańskich przyjaciół, małżeństw mieszanych, czy dzieci, które uczą się języka polskiego mojej dwujęzycznej, odwracanej książki o Helenie Modrzejewskiej „Co otrzymałam od Boga i ludzi”. Książkę tę kupił m.in. wnuk prezydenta USA Grovera Clevelanda, który robiąc porządek w archiwum rodzinnym znalazł wiele śladów po zaprzyjaźnionej z parą prezydencką Heleną Modrzejewską. Dzięki nie żyjącemu już profesorowi Andrzejowi Żurowskiemu, trafiłam na notatkę prasową w Lincoln Library w Nowym Jorku, z której wynikało, że Helena Modrzejewska wraz z prezydentem Groverem Clevelandem przecięła wstęgę i tym samym otworzyła Statuę Wolności. Bardzo ważne jest zatem, abyśmy zamiast kolejnej butelki wina, czy nic nie znaczącego gadżetu obdarowywali naszych amerykańskich przyjaciół polską historią i pokazywali obraz Polaków, którzy ten kraj również budowali.

Książka jest dostępna na Amazon:

Wspaniałe książki dotyczące Polski po angielsku wydała pisarka Aleksandra Ziółkowska-Boehm. Uważam, że naszym patriotycznym obowiązkiem jest informować angielsko-językcznych czytelników o takich publikacjach.

Niedawno przeprowadzałam wywiad z Aleksandrą Ziółkowską-Boehm na temat książek dotyczących polskiej historii na amerykańskim rynku, dla rocznika Instytutu im. gen. Władysława Andersa „Polonia Inter Gentes". Oto fragment:

Joanna Sokołowska-Gwizdka:

Bardzo ważną dla nas Polaków sprawą jest przedstawienie polskiej historii amerykańskiemu odbiorcy, szczególnie tej z okresu II wojny światowej. Do tej pory ukazały się cztery Pani książki dotyczące polskiej historii w tłumaczeniu angielskim: Oprócz wspomnianej już *Wańkowicz. A Poland's Master of the Written Word* ukazała się *Kaja, Heroine of the 1944 Warsaw Rising (Kaja od Radosława czyli historia Hubalowego krzyża,* Muza 2006, 2014), *The Polish Experience trough World War II: better day has not come* (*Lepszy dzień nie przyszedł już,* Iskry 2012) oraz historia jednego z Hubalczyków: *Polish Hero Roman Rodziewicz. Fate of a Hubal Soldier in Auschwitz, Buchenwald, and Postwar England*. Ukazały się również rozdziały Pani książek w osobnym, pięknie reklamowanym przez wydawcę zbiorze polskich, często

niezwykłych i traumatycznych losów *Untold Stories of Polish Heros from World War II,* do której wstęp napisał prof. James S. Pula. W Kanadzie wyszły Pani książki związane z historią Polski *Dreams and Reality Polsh Canadian Identieties* oraz *The Roots Are Polish*. Czym się Pani kierowała, wybierając polskich bohaterów dla anglojęzycznego odbiorcy?

Aleksandra Ziółkowska-Boehm:

Bardzo chciałam, by w Ameryce ukazały się moje reportaże historyczne pokazujące losy Polaków, i nie tylko. W sumie 12 moich książek ukazało się w języku angielskim, w tym 3 w Kanadzie i 9 w Stanach.

Pokazuję ludzi, których wojna wyrzuciła z domów, z ziem ojczystych, zabrała ich bliskich, złamała im życie. Piszę także o pokoleniu, które po wojnie zostało na Zachodzie nie chcąc wracać do komunistycznej Polski, czy nie mając gdzie wracać, bo Kresy były pod panowaniem sowieckim. Pisałam, co się działo z byłymi żołnierzami spod Monte Cassino, z bohaterami od Hubala (tak powstała książka: *Polish Hero Roman Rodziewicz Fate of a Hubal Soldier in Auschwitz, Buchenwald and Postwar England, 2013).*

Smutne, piękne, dramatyczne, bolesne – nasze polskie losy. Pokazuję wysyłki na Syberię, pobyty w obozach

koncentracyjnych, przesłuchaniach na Pawiaku. Piszę o dzieciach, które straciły ojców w Katyniu. Pokazuję losy polskich Ormian, rzeź wołyńską. Wśród wielu sylwetek jest piękna postać Wandy Ossowskiej, piszę też o Żydówce Idzie Grinspan, która 50 lat poszukiwała Wandę – polską pielęgniarkę z Neustadt-Glewe, która uratowała jej życie. Ida dotarła wreszcie do szpitala, kiedy Wanda Ossowska straciła już przytomność i niebawem zmarła. Ida Grinspan w 2002 roku napisała z dziennikarzem francuskim Bertrand Poirot-Delpech książkę o swoich staraniach, by Wandę odnaleźć: *Je n'as pas pleure* (I didn't Cry). Moja książka ukazała się p.t. *The Polish Experience Through World War II:A Better Day Has Not Come* (dwa wydania: 2013, 2015*).*

Wszystkie angielskojęzyczne książki Aleksandry Ziółkowskiej-Boehm sa na Amazon:

Przy magazynie „Culture Avenue" ruszyła szkoła języka polskiego dla dorosłych przez Zoom – Culture Avenue Polish Language School for Adults. Oferujemy gwiazdkowe pakiety: polishschool@jsokolowska.com

Zbiory polskie w Instytucie Hoovera

Rozmowa z dr. Maciejem Siekierskim, kuratorem Zbiorów Europejskich w Archiwum Herberta Hoovera przy Uniwersytecie Stanforda w Kalifornii.



Maciej Siekierski pracuje w Instytucie Hoovera od 1984 roku.

Aleksandra Ziółkowska-Boehm:

Blisko 100 lat temu, w 1919 roku, powstał Instytut Hoovera przy Uniwersytecie Stanforda. Jaki był cel założenia tej placówki?

Maciej Siekierski:

Założycielem Instytutu był najsławniejszy absolwent Uniwersytetu Stanforda i późniejszy 31. prezydent Stanów

Zjednoczonych Ameryki (1929-33) Herbert Hoover. Z wykształcenia był inżynierem górniczym i ekonomistą, człowiekiem wielkich interesów, ale również historykiem amatorem.

To on, w 1919 roku, wystawił czek na 50 000 dol. (750 000 w obecnych dol.) jako kapitał założycielski Instytutu. Celem tej placówki było stworzenie zbioru książek i dokumentów dotyczących I wojny światowej oraz pomocy humanitarnej i gospodarczej udzielanej Europie przez Stany Zjednoczone po wojnie.

Wśród pracowników był Witold Sworakowski. Pan pracuje w Stanford od 1984 roku, ponad 35 lat. Przyjechał pan do Stanów z rodzicami jako mały chłopiec, ukończył tu szkołę i studia. Doktorat obronił pan na Uniwersytecie w Berkeley w Kalifornii. Czy praca kuratora/kustosza w archiwum Hoovera podtrzymuje pana polskie zainteresowania i pasje historyczne?

Witold Sworakowski, były pracownik MSZ II RP, prowadził bibliotekę i archiwum Instytutu od 1947 r. do przejścia na emeryturę w 1968 r. Zmarł w 1979 r. Po nim stanowisko dyrektora biblioteki i archiwum, w latach 1969-81, objął, żyjący jeszcze, amerykański politolog i dyplomata polskiego pochodzenia Ryszard Staar-Gwiazdowski. Ja zostałem

zatrudniony w Instytucie Hoovera dopiero w 1984 r., chociaż korzystałem ze zbiorów biblioteki i znałem prof. Sworakowskiego wiele lat wcześniej. Pod koniec lat 70. działaliśmy razem w północnokalifornijskim oddziale Kongresu Polonii Amerykańskiej – on jako prezes, a ja jako sekretarz.

Ale pyta pani również o lata jeszcze wcześniejsze. Tak, do Kalifornii przyjechałem wraz z rodziną w 1962 r., mając 13 lat. Tutaj ukończyłem szkołę średnią i studia. Doktorat z historii obroniłem w 1984 r. na Uniwersytecie Kalifornijskim w Berkeley. Jednym z moich promotorów był Czesław Miłosz. To on zainteresował mnie historią i literaturą Złotego Wieku.

Moja praca doktorska, materiały, które zgromadziłem podczas trzyletniego stażu naukowego w Polsce, w połowie lat 70., dotyczyła spraw gospodarczych księcia Mikołaja Krzysztofa „Sierotki" Radziwiłła, autora słynnej „Peregrynacji do Ziemi Świętej", odbytej w latach 1582-84. Uczęszczałem wtedy na seminaria historyczne prof. Henryka Łowmiańskiego i Jerzego Ochmańskiego w Poznaniu, a badania prowadziłem w archiwum Radziwiłłów, znajdującym się w Archiwum Głównym Akt Dawnych w Warszawie.

Pracę obroniłem po powrocie do Stanów, która później wydana została w kolejnych tomach „Acta Baltico-Slavica" Polskiej Akademii Nauk za lata 1991-92. Z zainteresowań historią

wcześniejszą nie zrezygnowałem. W ostatnich latach przetłumaczyłem na język angielski całość „Peregrynacji" i kończę pracę nad przypisami. Spodziewam się, że książka ukaże się w tym roku. Będzie to pierwsze wydanie angielskie tego pomnikowego dzieła literatury podróżniczej polskiej i światowej.

Moim przygotowaniem do pracy w Instytucie była współpraca z Wiktorem Sukiennickim, wileńskim prawnikiem i politologiem, a na emigracji publicystą i historykiem, przez pewien czas też zatrudnionym w Instytucie Hoovera. Przez prawie cztery lata pomagałem mu przygotować do wydania jego dwutomowe *magnum opus* o Europie Wschodniej w czasach I wojny („East Central Europe During World War I: from Foreign Domination to National Independence"). Książka ukazała się już po śmierci profesora, opatrzona przedmową Czesława Miłosza, ucznia Sukiennickiego.

Niewątpliwie praca w Instytucie, dostęp do bogatych zbiorów bibliotecznych i archiwalnych, osobiste kontakty z historykami emigracyjnymi i krajowymi, jak i uczestnikami wydarzeń historycznych wzbogacają mój stan wiedzy i zachęcają do dalszych badań.



W środkowym rzędzie od lewej: Ignacy Paderewski, Herbert Hoover, Józef Piłsudski i ambasador USA Hugh Gibson, Warszawa, Belweder, 1919/HOOVER.ORG.

Dział polski w Bibliotece i Archiwum Instytutu Hoovera stanowi około 5 procent (40 000 tytułów bibliotecznych i ok. 400 zbiorów archiwalnych) całych zbiorów i stale się powiększa. W artykule na temat polskich zbiorów biblioteki i Archiwum Instytutu Hoovera rozróżnia pan w historii polskich zbiorów trzy etapy. Wszystko zaś zaczęło się od przyjaźni Herberta Hoovera z Ignacym Paderewskim. Co zawierają zbiory Ignacego i Heleny Paderewskich?

Zbiory Paderewskich uległy, niestety, rozproszeniu. To, co jest w Instytucie Hoovera, stanowi może jedną trzecią dawnego szwajcarskiego archiwum z Riond-Bosson. Są jeszcze znaczne fragmenty w Archiwum Akt Nowych w Warszawie oraz w *Polish Music Center* przy *University of Southern California* (USC) w Los Angeles. Poza tym znam jeszcze mniejsze części w Bibliotece Narodowej, jak i w Muzeum Polskim w Chicago. Zbiór Paderewskiego w Stanford to głównie korespondencja, przemówienia, druki, fotografie, wycinki dotyczące wielu zagadnień: kariery muzycznej artysty, działalności politycznej, nieruchomości i finansów.

W Archiwum Instytutu są również archiwa Ernesta Schellinga, ucznia Ignacego i serdecznego przyjaciela Paderewskich. W tych właśnie papierach znalazłem wspomnienia Heleny Paderewskiej z lat 1910-20, które opracowałem do druku i opublikowałem w 2015 r. Polskie tłumaczenie wydał Państwowy Instytut Wydawniczy, a angielski oryginał Hoover Institution Press. Posiadamy również archiwum Zygmunta Iwanowskiego, wybitnego malarza polsko-amerykańskiego, a w pierwszych latach po I wojnie – adiutanta premiera Paderewskiego.

Ponoć w planach Instytutu jest oferta stypendium dla badaczy działalności politycznej i społecznej Ignacego Paderewskiego.

Program już został uruchomiony. Dotyczy on historyków z doktoratem i publikacjami, zainteresowanych badaniem naszej dokumentacji związanej z Paderewskimi. Stypendium pokrywa koszty podróży i pobytu tutaj na okres około dwóch tygodni. W tej sprawie można zwracać się bezpośrednio do mnie na adres: siekierski@stanford.edu.

W listopadzie 2004 r. Instytut Hoovera zaprezentował w Polsce wystawę pt. „Amerykańska przyjaźń – Herbert Hoover a Polska". Dotyczyła ona wielkiej pomocy amerykańskiej dla Polski po obu wojnach światowych. Czy ta wystawa była także pokazywana w ośrodkach amerykańskich?

Wystawa była pokazywana w Zamku Królewskim w Warszawie od połowy listopada 2004 do połowy stycznia 2005 r. Potem oglądać ją było można w Krakowie, Łodzi, Katowicach i Poznaniu. Po powrocie do Kalifornii pokazano ją w Instytucie Hoovera, a następnie w skupiskach polskich w Nowym Jorku i Chicago.

Archiwum Hoovera posiada ogromne zbiory dotyczące II wojny światowej. Przejął m.in. zbiory Biura Dokumentów II Korpusu. Polski Rząd na Uchodźstwie przekazał trzy depozyty materiałów, między innymi cenne relacje Polaków o więzieniach i deportacjach sowieckich. Część tych

archiwów wcześniej zdeponowano w Dublinie (Irlandia aż do 1970 r. nie uznawała PRL), więc zbiory były tam bezpieczne. Czy one także przeszły do archiwum Hoovera?

Tak, zbiory w Dublinie w 1959 r. zostały nam przekazane w 20-letni depozyt. Irlandia była wtedy bezpiecznym miejscem, ale brakowało już środków na opłacanie czynszu.

„Zbiory dublińskie" to depozyt Aleksandra Zawiszy, ministra spraw zagranicznych Rządu RP na Uchodźstwie. Składał się on z archiwum MSZ, które ewakuowano we wrześniu 1939 r. do Rumunii oraz akt Ministerstwa Informacji i Dokumentacji z okresu II wojny. Termin depozytu minął bez odzyskania niepodległości przez Polskę, więc zbiory te przeszły na własność Instytutu. W 1999 r. Instytut przekazał gratis mikrofilmy tych zespołów Polsce, podczas wizyty członków rady nadzorczej Instytutu Hoovera w siedzibie MSZ w Warszawie.

Kolejna wielka postać, której zbiory są w Instytucie Hoovera, to Jan Karski. Jakie materiały są w archiwum i jak zostały pozyskane?

Wkład Jana Karskiego w gromadzenie polskiej dokumentacji historycznej w Instytucie Hoovera był ogromny. Jego wyprawa do Europy jako „agenta akwizytora" Instytutu, na zlecenie Herberta Hoovera, przyniosła duże rezultaty. Największym z

nich było Archiwum Biura Dokumentów II Korpusu, zawierające około 20 tysięcy relacji polskich zesłańców i więźniów GUŁAG-u.

Karski spotykał się kilkakrotnie z gen. Andersem, w Rzymie i w Ankonie, przekonując go, że Instytut Hoovera jest najpewniejszym miejscem dla zabezpieczenia archiwalnej spuścizny II Korpusu. Karski ostatecznie przekazał nam także swoje osobiste archiwum. Głównym „konkurentem" było federalne Muzeum Holokaustu w Waszyngtonie, ale mój artykuł z 1988 r. w „Polish Review" o „białych plamach" w stosunkach polsko-sowieckich przypomniał mu o jego wyprawie z 1946 r. i przekonał, że jego własne archiwum powinno znaleźć się w Instytucie Hoovera.

Archiwum Karskiego dotyczy głównie jego działalności w Stanach Zjednoczonych, ale skupiając w sobie moc dokumentów, korespondencji, zdjęć i wycinków prasowych, stanowi ważny zbiór dla kolejnej biografii bohatera.

W 2017 r. podpisana została umowa z powołanym w roku 2016 w Warszawie Ośrodkiem Badań nad Totalitaryzmem im. Witolda Pileckiego. Ośrodek uruchomił m.in. portal: www.zapisyterroru.pl, który w zamyśle ma być największym, dostępnym w internecie zbiorem gromadzonych od 1943 r. świadectw ofiar i świadków sowieckiego totalitaryzmu w okupowanej Europie. Jakie są

zamierzenia współpracy Ośrodka im. Pileckiego z Instytutem Hoovera?

Ośrodek zamierza przepisać wszystkie ankiety i relacje Polaków znajdujące się w zbiorze Biura Dokumentów, a jest ich około 20 tysięcy. Przepisanie umożliwi pełną indeksacje tych materiałów. Ostatnim krokiem będą tłumaczenia na język angielski. Dostęp do tych źródeł w języku angielskim w internecie otworzy te materiały dla historyków z całego świata.

W Archiwum Hoovera są także archiwa Radia Wolnej Europy (audycje, skrypty, archiwum dyrekcji RWE). Czym się różnią od materiałów przekazanych przez Jana Nowaka-Jeziorańskiego do Ossolineum?

Nie korzystałem z materiałów po Janie Nowaku, więc nie wiem dokładnie, co w nich się znajduje. Nowak obiecał nam, że kopia jego archiwum będzie przekazana do Instytutu Hoovera. Powtórzył tę obietnicę latem 2000 roku, kiedy obaj byliśmy na pogrzebie Jana Karskiego. Niestety, tak się nie stało. Jan Nowak opuścił RWE w 1976 r., a polskie nadawanie trwało przez kolejne 20 lat. Zbiór rozgłośni polskiej jest częścią zbiorów redakcyjnych i dyrekcji całej RWE, które są u nas.

Polska część to wiele tysięcy nagrań i skryptów audycji, których – przypuszczam – w Ossolineum nie ma. Z drugiej strony, zbiór

Nowaka zawiera bogatą korespondencję, której my nie posiadamy. Poza polskimi materiałami redakcyjnymi i personalnymi Instytut posiada papiery kilkunastu Polaków, którzy pracowali w RWE, w tym dwóch dyrektorów rozgłośni polskiej: Zdzisława Najdera i Marka Latyńskiego. Niedawno pozyskaliśmy także archiwa oddziału waszyngtońskiego Kongresu Polonii Amerykańskiej z lat 1971-2010, które są interesującym źródłem dokumentacji działalności politycznej Jana Nowaka po jego latach pracy w RWE.



Prezydent Herbert Hoover przed Instytutem swojego imienia, Stanford, 1950.

Kolejne zbiory z lat 60. i 70. to zbiory emigracyjne, premiera Stanisława Mikołajczyka, Józefa Frejlicha, „Lwowskiej Fali" z Londynu, także Stefana Korbońskiego z Waszyngtonu. Co zawierają? Zofia Korbońska, żona Stefana, przekazała jednak swoje materiały do Muzeum Powstania Warszawskiego.

Ja, niestety, nie mam tyle czasu, aby przeglądać wszystkie nasze

polskie zbiory. Zespoły Mikołajczyka, Frejlicha czy Korbońskiego to raczej typowe zbiory emigracyjne, wytworzone poza krajem, ważne, bo zgromadzone przez wybitnych przedstawicieli emigracji politycznej. Zofia Korbońska zrobiła to, co uważała za słuszne, i przekazała swoje papiery, w tym wiele kserokopii przesłanych jej z Instytutu Hoovera, do Muzeum Powstania Warszawskiego.

Zebrał pan materiały drugiego obiegu wydawniczego w okresie Solidarności. Instytut Hoovera posiada bogaty zbiór niezależnej prasy i druków zwartych. W Polsce takie zbiory posiadają Biblioteka Narodowa i Ośrodek Karta; czy ma znaczenie to, że się dublują?

Niewątpliwie sporo wydawnictw dubluje się z tymi dostępnymi w Polsce. Tak kiedyś nie było. Zbieraliśmy, dopóki był sens, bo krajowe zbiory były nielegalne, i z naszej kolekcji korzystało wielu badaczy zachodnich. W roku 1992 przekazaliśmy Ośrodkowi Karta sporo naszych dubletów. Teraz oni są niewątpliwie zasobniejsi – no i dobrze.

Czym zbiory Hoovera się wyróżniają – jeżeli chodzi o ilość i rangę materiałów – np. wobec zbiorów Ossolineum, Biblioteki Narodowej, Centralnego Archiwum Wojskowego, Muzeum Emigracji w Bibliotece Uniwersytetu Kopernika w Toruniu?

To trochę jak porównywanie jabłek z pomarańczami; archiwa krajowe mają swoje zbiory i my mamy swoje. Porównywać możemy się tylko z polskimi zbiorami poza granicami kraju, takimi jak Instytut Sikorskiego w Londynie czy Instytut Piłsudskiego w Nowym Jorku, a może też z uniwersytetami Yale bądź Harvard. Od wszystkich tych instytucji jesteśmy zasobniejsi pod względem zarówno objętości polskich zbiorów, jak ich różnorodności. Oni oczywiście mają dokumentację, której my nie mamy, ale to, co posiadamy, znacznie przewyższa ich stan posiadania.

Instytut Hoovera posiada także np. archiwa historyka i publicysty emigracyjnego Andrzeja Pomiana (Bohdana Sałacińskiego), ambasadorów Romualda Spasowskiego i Zdzisława Rurarza. Kto posiada archiwa Ryszarda Kuklińskiego?

Archiwa Ryszarda Kuklińskiego niewątpliwie posiada CIA. Rozmawiałem na ten temat kilka razy z Józefem Szaniawskim, zmarłym kilka lat temu w dziwnych okolicznościach, polskim przyjacielem i opiekunem Kuklińskiego. Podobnie zresztą jest z „archiwami" Spasowskiego i Rurarza. To, co my posiadamy, to głównie materiały wytworzone już po „wybraniu wolności".

Instytut posiada archiwa Bolesława Bieruta, Zygmunta Berlinga, Jakuba Bermana, Władysława Gomułki i innych.

Co one zawierają?

To nie są duże zbiory: trochę korespondencji, luźne notatki i maszynopisy, zdjęcia, etc. Z bardziej spektakularnych mogę wymienić protokoły przesłuchań Władysława Gomułki, gdy był więziony w Miedzeszynie, czy też list gratulacyjny Józefa Stalina do Zygmunta Berlinga, opatrzony charakterystycznym podpisem niebieską kredką, wraz z kopertą i lakowaną pieczęcią. To są raczej pozostałości po archiwach, które uległy zniszczeniu bądź jeszcze gdzieś pozostają w ukryciu.

W latach 90. nabyto od gen. Czesława Kiszczaka zdjęcia i filmy z Zawratu, Magdalenki i obrad Okrągłego Stołu. Ponoć także w 1991 r. na aukcji charytatywnej w Warszawie, urządzonej przez panią Kiszczakową, zakupiono mundur generała. Czy jest pokazywany w Stanford?

Tak, mundur pokazywaliśmy na kilku wystawach dotyczących zmian w Europie Wschodniej w latach 1989-91. Dodam, że mamy sporo rekwizytów wystawienniczych policyjnego typu, które trafiły do nas przeróżnymi drogami: pałki, hełmy, tarcze policyjne itp. Mówiąc o policyjnych archiwaliach, to możemy pochwalić się również aktami paryskiej ekspozytury carskiej Ochrany, w której znajduje się dużo poloników, takich jak zdjęcia i listy gończe za Piłsudskim i jego towarzyszami.

Instytut nabył archiwum Edmunda Osmańczyka, którym, według wdowy, nikt w Polsce nie wykazywał zainteresowania. Instytut nabył także archiwum Leopolda Tyrmanda. Co zawierają te zbiory?

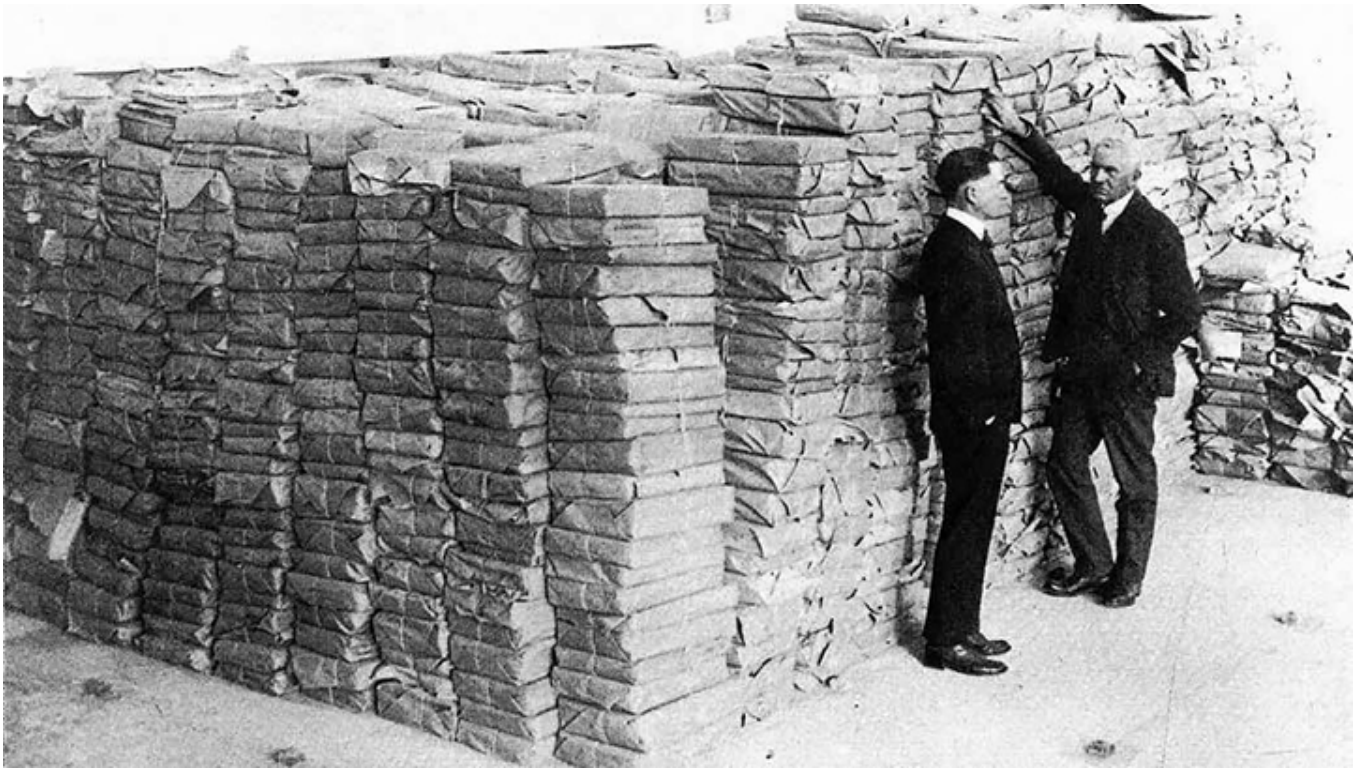
Jak udało mi się ustalić, pani Osmańczykowa przekazała drobną część archiwum męża do Ossolineum i uniwersytetowi w Opolu, ale olbrzymia większość poszła do nas. Jest to praktycznie wszystko: korespondencja, maszynopisy, kwity, etc. Niewątpliwie jest to materiał ciekawy dla przyszłego biografa, dotyczący „bezpartyjnego" pisarza i dziennikarza, który zaczynał swoją karierę jeszcze przed II wojną, a zakończył ją jako senator powstającej III RP.

Oczywiście biograf będzie musiał uzupełnić ten materiał aktami z IPN. Archiwum Leopolda Tyrmanda otrzymaliśmy od wdowy. Zawiera ono korespondencję, maszynopisy, w tym oryginał „Dziennika 1954", którego kserokopia, przesłana przez nas do Instytutu Badań Literackich, umożliwiła pierwsze wydanie krajowe w 1999 r.

Wśród zbiorów są także archiwa Mieczysława Rakowskiego (ponoć między innymi tomy dzienników, które ukazały się w Polsce drukiem) i Jerzego Urbana. Co zawierają i jak się znalazły w tym właśnie miejscu?

Obaj panowie zgłosili się do nas, proponując przekazanie swoich papierów prywatnych. Nie wnikamy w motywacje, przyjmujemy papiery od twórców i świadków historii, jak i od zbieraczy materiałów historycznych. Nie wyraża to aprobaty dla tych konkretnych osób i ich politycznych preferencji. Zbieramy surowy materiał źródłowy dla historyków. Dzienniki Rakowskiego są ciekawe, bo posiadamy je w trzech kolejnych wersjach przed ostateczną publikacją.

Ukazują one, jak to zapis dzienny zamienia się we wspomnienia, uzupełniane później otrzymanymi dokumentami i refleksjami. Zbiór Jerzego Urbana to sporo materiałów rodzinnych, maszynopisy artykułów „Kibica" „Rema", etc. Materiały rzecznika rządu i sekretarza gen. Jaruzelskiego Jerzy Urban przekazał do IPN-u.



Pierwszy transport materiałów historycznych dla Instytutu Hoovera, Stanford, 1921.

Czy jest pewnego rodzaju konkurencja w temacie: komu zaproponować przekazanie archiwów? Jak osoba posiadająca cenne materiały powinna wybierać, mając do dyspozycji znane placówki – zbiory polskie w Polsce (np. Ossolineum, Biblioteka Narodowa, Muzeum Emigracji w Toruniu) i poza granicami Polski (Instytut Piłsudskiego, Stowarzyszenie Weteranów Armii Polskiej w Nowym Jorku). Zbigniew Brzeziński, na przykład, za życia przekazał swoje archiwa do Biblioteki Kongresowej w Waszyngtonie.

Nigdy nie odczuwałem konkurencyjności innych archiwów. Darczyńca sam musi decydować, co chce zrobić ze swoimi papierami. Oferujemy bezpieczne, nowocześnie wyposażone

miejsce i gwarantujemy, że materiały będą przechowywane i udostępniane w najlepszych możliwych warunkach, według zasad przyjętych przez obie strony w umowie zdawczej. Z nikim nie konkurujemy, ale może dodam, że jesteśmy dość selektywni w tym, co przyjmujemy do naszego archiwum.

Chciałbym dodać, że Zbigniew Brzeziński wysoko cenił bibliotekę i archiwum Hoovera. Odbył tutaj część swoich prac badawczych na początku lat 50. Swoje archiwa zaczął przenosić do Biblioteki Kongresowej zapewne dlatego, że w Waszyngtonie znajduje się także Archiwum Narodowe, w którym jest wiele dokumentów rządowych. Na kilka tygodni przed jego śmiercią, w maju 2017 r., przysłał list, w którym napisał, że rozważa pozostawienie niewielkiej części swoich dokumentów w archiwum Hoovera. Ponieważ nie przekazał żadnych pisemnych dyspozycji w tym zakresie, jego rodzina oddała resztę dokumentów do Biblioteki Kongresowej. Część jego listów znajduje się w Instytucie Hoovera w zbiorach uczonych i dyplomatów, z którymi korespondował.

Aby skorzystać ze zbiorów w Stanfordzie, trzeba starać się o stypendia, wsparcie finansowe. Jakby dostępniejszym miejscem wydaje się Nowy Jork czy Chicago, które stanowią duże centra Polonii. W Nowym Jorku jest główna kwatera Stowarzyszenia Weteranów Armii Polskiej w Ameryce (SWAP), organizacji istniejącej od 1921 r. W

archiwach SWAP jest m.in. kartoteka osobowa ponad 20 tysięcy weteranów z I i II wojny światowej, wykaz ponad 38 tys. ochotników ze Stanów, Kanady do armii polskiej we Francji z lat 1917-1919 (Błękitnej Armii), kolekcja fotografii i nagrań audiowizualnych, głównie relacji żołnierskich. Czy szczególna odległość zbiorów Hoovera utrudnia, pana zdaniem, dostęp do archiwów?

Niestety, jesteśmy, gdzie jesteśmy, bo tak zadecydował nasz założyciel Herbert Hoover. Nasza względna izolacja była jednym z czynników, dlaczego gen. Anders czy też Rząd RP na Uchodźstwie zdecydowali się na przekazanie podległych im zbiorów do wypróbowanej, przyjaznej i prywatnej instytucji w Kalifornii. Tutaj wydawały się one bezpieczniejsze i mniej narażone na zagrożenia i naciski ze Wschodu. Posiadamy największe poza krajem zbiory źródeł do badania najnowszej historii Polski i jesteśmy zainteresowani, aby dokumentację tę udostępnić jak najszerszemu gronu badaczy. Zachęcamy, odpowiadamy na wszystkie listy oraz e-maile, oferujemy pomoc finansową, ale obawiam się, że więcej zrobić nie możemy. Zresztą z tego co wiem o archiwach polskich poza granicami kraju, nawet tych w znacznych skupiskach emigracyjnych, nie są one oblegane przez rzesze polonijnych historyków.

Ilu pracowników zatrudnia Instytut im. Hoovera? Ilu Polaków? Ile osób, w tym ilu Polaków, korzysta z

materiałów w skali roku?

Instytut Hoovera zatrudnia około 200 osób. Z tego na bibliotekę i archiwum przypada 50 osób, w tym trzech Polaków. W skali roku ponad 200 badaczy korzysta z polskich zbiorów. Większość z tych 200 osób to niewątpliwie Polacy, mieszkający w Polsce bądź za granicą.

Czy polskie zbiory archiwum Hoovera zostaną zdigitalizowane?

W latach 1999-2001 przekazaliśmy do Polski 18 naszych najważniejszych zbiorów z okresu II wojny. Zbiory te reprezentują półtora miliona stron dokumentów. Strona polska, Naczelna Dyrekcja Archiwów Państwowych, z naszą zgodą, zdigitalizowała te mikrofilmy i zamieściła je na stronie www.szukajwarchiwach.pl. Reprezentuje to blisko połowę naszych polskich zbiorów. W ostatnich latach doszło kilka kolejnych zbiorów.

Digitalizacja, jak i kolejne „migracje" elektronicznych zasobów są bardzo kosztowne. Jestem raczej archiwistą starej daty, uważam, że papier i mikrofilm jeszcze długo będą podstawą działalności archiwalnej. Korzystając z okazji chciałbym zwrócić uwagę czytelników na stronę Biblioteki i Archiwum Instytutu, oraz na stronę, gdzie znajdują się nasze inwentarze archiwalne:

https://www.hoover.org/library-archives/about/news;

www.oac.cdlib.org/institutions/Hoover+Institution.

Hoover Institution Library & Archives, Stanford University
Stanford, California 94305-6003
tel. (650) 723-3563
fax: (650) 725-3445
e-mail: hooverarchives@stanford.edu
http://www.hoover.org/library-and-archives

Wywiad ukazał się w: „Odrze” (listopad, 2018), po angielsku: w „The Polish Review” (New York, January, 2019) oraz w „Nowym Dzienniku”, (New York, 27 IV/3 V 2019).